R

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM VI NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 4

ZUZANNA GINCZANKA

KSAWERY PRUSZYŃSKI

JULIAN TUWIM

CZESŁAW MIŁOSZ

MAREK ŻUŁAWSKI

KAROL ESTREICHER

ROMAN BRATNY

MANFRED LACHS

KRZYSZTOF RADZIWIŁŁ

STANISŁAW ŁEMPICKI

LONDYN

KWIECIEŃ

1946

SPIS RZECZY

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM VI NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 4

LONDYN KWIECIEŃ 1946

ZUZANNA GINCZANKA *)

*
* *

Non omnis moriar — moje dumne włości,
Łąki moich obrusów, twierdze szaf niezłomnych,
Prześcieradła rozległe, drogocenna pościel
I suknie, jasne suknie pozostaną po mnie.
Nie zostawiłam tutaj żadnego dziedzica,
Niech więc rzeczy żydowskie twoja dłoń wyszpera,
Chominowo, lwowianko, dzielna żono szpicla,
Donosicielko chyża, matko folksdojczera.
Tobie, twoim niech służą, bo po cóż by obcym.
Bliscy moi — nie lutnia to, nie puste imię.
Pamiętam o was, wyście, kiedy szli szupowcy,
Też pamiętali o mnie. Przypomnieli i mnie.
Niech przyjaciele moi siądą przy pucharze
I zapiją mój pogrzeb i własne bogactwo:
Kilimy i makaty, półmiski, lichtarze —
Niechaj piją noc całą, a o świcie brzasku
Niech zaczną szukać cennych kamieni i złota
W kanapach, materacach, kołdrach i dywanach.
O, jak będzie się palić w ręku im robota,
Kłęby włosia końskiego i morskiego siana,
Chmury prutych poduszek i obłoki pierzyn
Do rąk im przylgną, w skrzydła zmienią ręce obie.
To krew moja pakuły z puchem zlepi świeżym
I uskrzydlonych nagle w aniołów przemieni.

*) Jeden z ostatnich wierszy utalentowanej poetki, zamordowanej przez Niemców w Płaszowie pod Krakowem.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

RÓŻANIEC Z GRANATÓW

Był to mój trzeci kolejny szpital, już w Anglii, i przewieziono mnie nocą i umieszczono na jedynym wolnym łóżku. W szpitalu nie było poza tym wolnych łóżek i wszystkie sale były pełne i stało w nich więcej łóżek, niż powinno było stać. Był to czas, kiedy codziennie napływali setkami tacy jak ja z dywizyj, o których było w pismach, że „they are closing the Falaise gap", a także tysiącami tacy z Włoch, o których w tych samych dziennikach, ale o trzy tygodnie wcześniej, było powiedziane „they effectuated a very deep break through on the Ancona sector". Była noc, a na sali ostry zapach jakichś lekarstw i mdły cierpiącego ludzkiego ciała; tak ciała nie czuć ani w koszarach, ani w więzieniu, ani w okopach, ale tylko tam gdzie są rany i gdzie ciało cierpi. Było takie mdłe, przymylone światło i wszystko było białawe. Leżałem wysoko na wózku, wyprostowany i niewiele mogłem widzieć, gdy mnie przekładano na łóżko. Potem mogłem widzieć jeszcze mniej, bo bolało mnie ramię, całe poszarpane i bok jeszcze pocięty, a do łóżka przygważdżał mnie ciężki, jedenastokilowy gips, nałożony na pęknięte od wstrząsu kręgi w plecach. A jazda przedtem była długa i męcząca.

— To jest Polak obok pana także — powiedziała siostra.

I, nachylając się nade mną, doszeptała jeszcze:

— He is not very well, poor boy, I don't think he will have it for very long.

Co znaczyło, że długo nie pociągnie, ale siostra omyliła się. Następnego rana żył jeszcze, a następnego wieczoru było mu jakby lepiej. Mnie z rana było za to niedobrze. Widziałem, jak na drugim końcu sali obstawili łóżko jedno białym parawanem wokół, a że znałem już zwyczaje szpitalne, więc zastanowiłem się tylko, o co tu chodzi; naturalna potrzeba, czy koniec. Ale nie otworzono okna i tylko po jakichś dwudziestu minutach przystawiono wózek, a potem wytoczono go z sali, tak samo jak przytoczono przedtem mnie, gdy przyjechałem, a także jak wytoczono cztery dni potem, na zeszycie rany ramienia. Wózek był zasłonięty białymi płótnami tak, że nie widziałem wcale twarzy człowieka, co skończył tak blisko. Potem łóżko zasłano. Na obiad już tam leżał ktoś nowy.

Twarzy Polaka przy mnie także nie widziałem długo, bo on się nie ruszał i ja prawie. Ale jego łóżko było tuż przy moim i jego szafka nocna między nami i z niej zwisał zawieszony przedmiot, który mnie zastanowił. Był to różaniec. Nie to było nadzwyczajne, że był to różaniec, dużo dziwniejszym był rodzaj tego różańca. Był to różaniec z granatów. Małe, ciemnoczerwone ziarnka były nanizane jedno za drugim jak zwyczajnie w różańcu. Rzadko widziałem w życiu różańce z granatów; a jednak przypomniałem sobie, że widziałem takie i męczyłem się, aby sobie przypomnieć, gdzie. Kiedy się tak leży nieruchomo, człowiek wdrąża się myślami w własną pamięć, aż znajdzie. Znalazłem! Kiedy człowiek jest ranny i uświadomi to sobie, to maca ciało i kości, aby wiedzieć, co mu dolega, a co wyszło cało. Kiedy człowiek przeszedł przez gorączkę i był nieprzytomny, to bada, czy jego myśl i pamięć nie przestała działać. Działała. Tak. Różańców z granatów nie robi się ani w Polsce, ani we Francji, ani we Włoszech nawet, ani w Irlandii,

choć wszystko to są kraje katolickie i wszędzie tam odmawia się różaniec. Jest tylko jeden kraj, gdzie nawet z przedmiotów do nabożeństwa robi się klejnoty, bo tam religia i zbytek od dawna łączą się razem i w kraju tym słyszałem o różańcach z pereł, a widziałem różańce z ametystów i, najpospolitsze, różańce z granatów. Było to w Hiszpanii. Poczułem się lepiej, ale chłopiec za to poczuł się gorzej. Mogłem się nieco podnieść i widziałem jak leżał na wznak, wyprostowany. Miał bardzo młodą i bardzo białą twarz, rysy nieregularne, jakieś brwi nierówne i czoło szerokie, otwarte. Oczy miał przymrużone i tylko czasem jakiś skurcz poruszał te oczy i zbielałe, popękane wargi. Miał ludową polską twarz i może pasował do niej różaniec, ale nie z granatów.

W nocy niepokoił się i rzucał, co było niebezpieczne o tyle, że miał przestrzelone jedno płuco i także naruszoną wątrobę. Siostry nie chciały mówić wyraźnie, co jemu jest, bojąc się, by nie dosłyszał, a także dlatego, że tak chce regulamin. Ale wiedziałem, że walczy o życie, jak to się mówi, że raz jest lepiej, a znowu drugi raz jest gorzej! Sam ranny człowiek obojętnieje na cudze rany i śmierci. A jeszcze wobec ludzi, których się nie widziało i znało inaczej, jak w szpitalu. Kiedy człowiek sam gorączkuje i bóle wracają na niego falami, miewa zachcenia. Jeden u nas kiedyś wołał po nocy o kiszoną kapustę; inny chciał wody, ale ze studni. Mnie męczyła po nocy historia tego różańca. Przypomniała się znowu Hiszpania, płowa, surowa, pachnąca oliwą Hiszpania wojny domowej. Był wieczór, kiedy temperatura się podnosi i zacząłem sobie nucić bezwiednie dawno zapomnianą nutę, smutną, bardzo hiszpańską. Siempre in quardia, siempre in quardia, powtarzałem sobie strzępy zwrotki. Białe łóżko obok poruszyło się. Posłyszałem jakby jęk; ale to nie był ból; to tylko usta odwykłe od śpiewania, stroiły się tak jak się stroi instrument. Za chwilę jęk przeszedł w pieśń. Bolało mnie, ale podniosłem głowę, jak tylko mogłem. To wtedy nie było dużo, ale dosyć jednak, by coś widzieć. Widziałem jak na twarzy pojawił się ruch jakby. Opierzchłe usta wyrzucały z siebie z trudem na pewno, ale wyraźnie, całkiem wyraźnie, dalsze słowa zwrotki. Pamiętam dwa słowa: joven quardia. Wymawia się: hoven. Znaczy: młoda gwardia. Wiedziałem już, że leżał przy mnie człowiek Brygad Międzynarodowych, pewno z polskiej Brygady, trzynastej, imienia Jarosława Dąbrowskiego.

— Dąbrowszczak? — zapytałem.

— Aha...

Odmrużył oczy. Były szare, przedziwnie świetliście szare. Patrzyły pytająco, ale nie bardzo przytomnie. Opadłem na poduszki sam i nie widziałem ich. Głos przestał nucić. Słyszałem tylko oddech jego, niespokojny, przez nos, świszczący jakby i miałem prawie zadzwonić na siostrę, bo bałem się, czy on... Ale to pewno było wzruszenie jakieś. Może nie wiedział przedtem, że Polak tu leży, albo że tamto posłyszy. Pewno za silnie potrąciło to struny jakichś wspomnień. Ale oddech ścichł, stał się miarowy. Myślałem nawet, że usnął, ale po długiej chwili posłyszałem naraz głos tak cichy, jakby brzęczenie:

— Kolego?

— Co wam?

— Nnnic... Wiersz? Czy pamiętacie? Wiersz? Mówił wyraźnie: wiersz. Cicho, ale zupełnie wyraźnie. Prosił o jakiś wiersz? Jaki? Ktokolwiekby słyszał ten jego głos taki

cichuśki, słaby jak pajęczyna jaka, nie odważyłby się spytać, jaki wiersz. Nie chciałem i ja i szukałem myślą. „Arriba parias de la terra” zacząłem. Łóżko się poruszyło. Nie wiem jak, przeczułem, że to nie to. Zobaczyłem ruch ręki, znieruchomiałej ręki na kocu. I znowu ten słaby, męczący się głos:

— Nie... nie... nie to. Polski wiersz. Polski. O jednym... chłopcu takim... co porzucił chatę... u nas mówili... w Albacete...

Teraz na mnie napłynęła fala wzruszenia ciepłego pod gardło. Wiedziałem. Jak mogłem nie wiedzieć.

Było cicho owego wieczoru i pola zielone za oknem przesłaniały się błękitnawym mrokiem. Szedł ciepły sierpniowy wiew przez otwarte okna. Wyganiał zapachy szpitala. W ciszy tej, cicho i wyraźnie zacząłem mówić wiersz prosty, jak opowieść:

Jechaliśmy stępa,
Pędziliśmy w kłębach,
I jabłoczko piosnkę
Śpiewaliśmy w zębach.
Ach piosnkę tę dotąd
Napewno pamięta
Malachit stepowy,
Murawa pomięta.
Lecz inną pieśń jeszcze
O obcym narodzie
Towarzysz do siodła
Przytroczył w pochodzie
I śpiewał, choć rodak
Tutejszy, jak ja:
Grenada, Grenada
Grenada maja!

— To, spytałem cicho. Spytałem głupio. Podniosłem się i widziałem jego twarz. Była to twarz człowieka, który ma widzenie, którego teraz nie boli nic, dla którego ani cierpienia nie ma, ani śmierci. Poruszył głową:

— Tak, tak... dalej.

Czy pamiętałem dalej tuwimowski przekład wielkiego wiersza Swietłowa? Zląkłem się. Dawno go nie mówiłem. Teraz był tak potrzebny. Wolniej, bo z namysłem, zacząłem mówić dalej:

Na pamięć tę piosnkę
Jak pacierz znał pański.
I skąd do mołojca
Ten smutek hiszpański.
Nie w twojemż to polu
Ukrajno wśród żniwa
Tatra Szewczenki
Papacha spoczywa?
Kijowie, Połtawo,
Odkądże w twe strony
Zagnały dalekie
Hiszpańskie canzony
I skąd, przyjacielu
Dopadła cię ta
Grenada, Grenada
Grenada maja!

Mówiąc, męczyłem się, czy pamiętam. Czy nie urwę w połowie, w ćwierci. Przystanąłem. Od łóżka posłyszałem coś.

Spojrzałem. Po żółtej, nieżywo już żółtej twarzy spływały wolno, długimi strugami łzy. „Dalej!... dalej!

A chochoł-marzyciel
Pomyślał troszeczkę,
Grenadę, powiada,
Znalazłem w książeczce.
Wysoka to sława
Tak piękne mieć imię,
Jest powiat grenadzki
W hiszpańskiej krainie.
Jam chatę porzucił
I walczyć szedł potom,
Że ziemie w Grenadzie
Ja oddać chcę chłopom.
Nie płaczcie najmilsi,
Powrócę, Bóg da.
Grenada, Grenada
Grenada maja.

Od łóżka szedł chwilami cichy ogromnie szloch, tak cichy, że aż wierzyć było trudno, że może go wydawać dorosły człowiek. Ale on był już czymś innym, niż dorosły człowiek; był trochę jak bardzo słabe dziecko. „Dalej, dalej" prosił i mówiłem cały długi wiersz. „Świt wstawał co rana, by znowu się schować i................Naraz, nie wiem czemu, to mnie przypomniała się nie Hiszpania, lecz nasza Normandia i czołgi mego pułku, dziesiątego pułku, brnące gdzieś pod Falaise przez pszenicę normandzką. Mówiłem jak „poznali dokładnie gramatykę boju i słowa armatnie" a potem jak „na ziemię od kuli zwaliło się ciało" i jak......................Cała ballada rewolucyjna, wyśniona w 1917 gdzieś nad Donem, nad Manzanarem w dwadzieścia lat potem echem wojny odbita. Jego wojny.

Było już ciemno zupełnie nie mówił już nic. Zasnął. Myślałem, że może mu to źle zrobić, albo dobrze. Zrobiło dobrze. Spał twardo, na drugi dzień było wyraźnie lepiej. „Here, you are a nice boy" mówiła siostra, odkładając termometr. Tylko młody doktór milczał sceptycznie.

— Mnie też było lepiej. Posadzono mnie na łożku i oparto o poduszki. Miałem coś do wyjęcia z kieszeni battledressu i kazałem go sobie podać. Zobaczyłem, biorąc, że jego oczy spoczęły na czymś i zdumiały się, czy zmroziły. Domyśliłem się. Na naramienniku widoczna była gwiazdka.

— Oficer?

— Tak, kiwnąłem głową: podporucznik.

Milczał chwile; tak trudno mu szło mówienie. Może się zmęczył; może zawahał. Po chwili, patrząc się głęboko tymi swoimi bardzo szarymi oczyma, zapytał:

— Byliście... pan porucznik był... w której kompanii? Mickiewicza? Palufoxa?

— Nie. Nie byłem w żadnej kompanii.

Szare oczy nalały się zdziwieniem:

— Toście nie z Hiszpanii?

— Z Hiszpanii. Byłem w Hiszpanii podczas wojny. I z wami. Ale się nie biłem. Pisałem. Jako korespondent.

— Korespondent? A myśmy nie mieli oficerów. Nam tak trzeba było oficerów. Byłoby inaczej pod Saragossą...

— Ciszej, ciszej; nie mówcie tyle!

Ale on urwał sam. Dyszał. Nie rozumiał, ale się zmęczył. Patrzył długo, długo, tym nieruchomym wzrokiem jaki mają ludzie, co nie mogą mówić, ale jeszcze nie zdołali do tego przywyknąć. Patrzyłem na niego i raz jeszcze oczy mi zbiegły na ten różaniec, może dlatego, że jego ciemno-czerwone ziarnka odbijały od tej całej białości szpitalnej. On zobaczył ten mój wzrok. Uśmiechnął się i powiedział:

— To też... z Hiszpanii.

Uśmiechnąłem się i ja.

— Wiem.

— Kto wam... kto panu porucznikowi powiedział?

— Nikt. Ale takie różańce z granatów są tylko w Hiszpanii i nigdzie indziej.

Kiwnął głową;

— Tak... Dlatego...

Oczy jego pobiegły za różańcem. Znowu uśmiechnął się.

— Wie pan, mówił z trudem,... gdyby nie ten różaniec... dawnobym nie żył... A tak, uśmiechnął się, dopiero teraz... Całych siedem lat... wygrałem... na tym różańcu takim...

Zadyszał się i znowu nie mógł mówić, a nawet teraz stało się jeszcze inaczej, bo poruszał ustami, ale usta nie wydawały dźwięku. Ale po kwadransie jakimś zaczął mówić znowu, potem znów ustał, potem mówił, aż nie przynieśli obiadu. Przespawszy się trochę, mówił znowu, z ciągłymi przerwami aż do wieczora. Opowieść była tak samo w strzępach jak on sam. Ale strzęp po strzępie dały się one zeszyć. Oto była jego historia:

Rodzice pochodzili z Polski, spod Wolbromia i brat starszy i siostry dwie pamiętały jeszcze Polskę, on nie, choć się jeszcze był w Polsce urodził. Rodzina zaznała wiele biedy, jak tylu emigrantów z Polski szukających chleba w kopalniach na Północy Francji, albo w fermach, na jej Południu. Ojciec był tam czymś w lokalnym C.G.T., znał Jouhaux i kiedy wybuchła ta wojna w Hiszpanii i szli Polacy, Jędrek, starszy brat, poszedł także. Było mu dwadzieścia dwa lata Jędrkowi, był ranny zaraz na początku, ale lekko i posyłał kartki do nich do Francji i swoją fotografię, kiedy przeszedłszy przez kurs w Albacete został — Piękny był chłopak, Jędrek, i dla niego, Józka, taki dobry zawsze. Dobry, mądry brat. Matka płakała, och jak płakała, gdy przyszło z Polskiej Brygady, że Jędrek poległ na czele swej kompanii na samych przedmieściach Alcala de Henaves. Na wiosnę samą 1937. Matka mówiła, że to kara boska, bo matka była jeszcze z tych starych. Po staremu, mówił myślała. On, Józek wtedy poszedł. Za brata, tego. Za Jędrka. Matka nie wiedziała. Poszedł.

Dalsze strzępy opowieści były porozrywane nierównie. Czasem myślałem, że majaczy. Unosił się. Nawet podnosił ten swój głos. Wynikało z tego, że był w brygadzie Dąbrowskiego niedługo, jakieś kilka tygodni. Zrobili nocny marsz na Saragossę. O świcie byli pod miastem. Słyszeli jak faszyści bili w dzwony na trwogę. Ale potem przyszły samoloty i drogą wyszły czołgi i uciekali górami. On z drużyną błądzili trzy dni, aż wpadli na tamtych. Reszta drużyny uszła, on i dwóch zostało. Tamci dwaj na śmierć.

On dostał z boku strzał przez plecy, łopatkę. Kiedy przyszedł do siebie, był wieczór, ciemno; leżał na słomie, obok inni rzężeli. Była to jakaś stajnia czy obora czy piwnica. W drugiej izbie palił się ogień i w jego świetle, w drzwiach Józek zobaczył żołnierza w takiej „capo" na plecach i z takim bagnetem na ka-

rabinie, jaki tylko mieli tamci. Faszyści. Zmartwiał. Przy ogniu w tamtej izbie siedzieli w kuczki na ziemi; ale naraz podeszło do tamtych ze dworu dwóch innych żołnierzy. Teraz dopiero zmartwiał. Mówili do siebie chrapliwym obcym językiem a jeden miał na piersi, na mundurze, sznurkiem — jeden za drugim, jak medale — pozawieszane zegarki. Mieli twarze czarne i brodate i białe zawoje. Byli to Maurowie z Riffu. „Ja się tylkom dziwił,czemu nie zabili mnie tam" opowiadał Józek.

Tajemnica niezwykłej łaskawości się wyjaśniła. Na drugi dzień przyszedł oficer w granatowej szamerowanej kurtce, gruby ksiądz i dwaj regnetes. Byli młodzi i mieli czerwone berety. Jeden nie mówił prawie po hiszpańsku. Oficer wydobył z kieszeni ten różaniec i spytał, czy to mój, skąd go mam i żebym powiedział całą prawdę. Czemu nie miałem jej powiedzieć? Więcem powiedział, że raz robili taką antyreligijną representation. Maskaradę. I jeden żołnierz zawiesił sobie ten różaniec. Pewnie go gdzieś zrabował.Mnie się żał zrobiło i powiedziałem, żeby mi go dał. Dać nie chciał, ale sprzedał. I stąd mam. Jednegom tylko im nie powiedział, gdzie sobie ten milicjamo ten różaniec powiesił. I tego, po com go odkupił. A odkupiłem dla matki. My zawsze jak z domu gdzie jechali, to matce gościniec przywozili, a jeszcze teraz, kiedy przeciw niej do Hiszpanów poszedłem. I myślałem, że matka nigdy takiego pięknego różańca nie miała, ani nie wiedziała, że takie są. Alem tego wszystkiego im nie powiedział. Oni posłuchali, a potem ksiądz mnie spytał, czy wiem, że to grzech kupować rzeczy kradzione, a do tego święte. A ja mu na to — bom nie był tak słaby jak tera — że pewno jeszcze większy grzech nie kupić, jak inni ze świętych rzeczy pośmiewisko se czynią. I wszystkom mu wtedy wygarnął i ksiądz był czerwony, jak piwonieja, co u nas przed domem rosły, a oficer to z krzykiem i pejczem na mnie skoczył. A ja nic, bom sobie myślał: i tak zabiją, niech się nie męczę, jak inni się męczyli i tylko że mówię co było, bo mnie pytali, to niech się nie sierdzą. I że mi o ten różaniec i tak wstręty czynili w brygadzie, tyle że kapitan Kowaczek wziął się za mną. I żeby mi oddali, bo to nie jeich a mój, żem zapłacił. Pyskaty wtedy byłem. Zobaczyłem też, że dwaj drudzy, regnetes znaczy się, nie mówią nic, ale tak jakoś patrzą jakby moją stronę brali. I ten obcy mówił z tym drugim na stronie, ale widziałem, że nie po hiszpańsku. Potem spytał mnie, czy znam francuski. Powiedziałem que oui i on mnie zapytał, po co przyszedłem tu się bić. A ja: et vous pourquoi. Oficer powiedział, że mnie zapłacono, a ja, że pewno mniej, niż jego płacą. Myślałem, że mnie zabije, ale jakoś z tym obcym się liczył. A tamten znowu: czy wierzę w Boga. Powiedziałem, że wierzę, ale jak na różaniec patrzę i jak matkę wspomnę, a jak takiego księdza z koltem do sutanny widzę to już nie wierzę w nic. I naszła mnie taka słabość, jak teraz czasem, a gdy przeszła, to ich już nie było.

Ale potem miałem ranę przewiązaną i dostałem jeść, a wieczorem zaszedł ten obcy regnetes — pokazał przepustkę żołnierzowi u drzwi — i przykląkł przy mnie. Pytał czy czego nie trzeba, ja mówiłem, że nie, bo i tak nas rozstrzelają, a on mówił, że nie; i że to czerwoni mordują jeńców, a oni, katolicy nie. To ja się śmiałem i tych ośmiu co leżało też, z wyjątkiem dwóch co już od południa przestali się ruszać. Jemu było przykro; i mnie jego zrobiło się żal. A był wtedy młody jak moja siostra. Ta druga, Janka.- Powiedział, że jest Irlandczykiem; że zawsze słyszał, że Polacy są dobrzy katolicy; a że walczyć tu

przyszedł za wiarę. Spytałem, za jaką: czy za tego grubego księdza z koltem u boku? A on odpowiedział, że nie, ale za takie różańce jak ten, które z ręki pobożnych wydarto na pośmiewisko. To mnie było żal. I powiedział mi jeszcze, że nasza drużyna nacięła się na ich stanowiska i że to był ich karabin maszynowy, z któregośmy dostali. Inni Irlandczycy byli z falangistami; ale oni są katolicy i poszli do regnetes. Nosił taki szkaplerz jaki znajdywaliśmy na piersiach poległych regnetes; z Sercem Jezusa. Duży. Czerwony. I powiedział, że zawiadomił Polaków o mnie.

To była prawda, bo jakoś w trzy dni później przyszli po mnie. Myślałem, że wyprowadzą tak jak innych i bałem się; tak, wtedy to się naprawdę bałem. Nie miałem nikogo. By być na niego zły, jak wtedy z tym księdzem i oficerem. Ale mnie nie związali, przetarli twarz mokrym ręcznikiem, wsadzili nawet do auta. Nie ciężarówki a auta. Za chwilę byliśmy w mieście. Ma wąskie ulice, do góry takie, klasztorów a pałaców pełno, wszystko z kamienia. Było wszędzie ciemno i tylko w witrynach była uśmiechnięta gęba tego ich Franco i dziewczyny chodziły z żołnierzami na rambli. Dziwno było patrzeć. Myślałem sobie: ot, ludzie żyją i chodzą a tobie Józek koniec. Wtedy dziwno było myśleć, że mnie nie będzie, ale świat będzie jak był. Dziś — wiem. Auto stanęło na placu przed jakimś pałacem czy hotelem bardzo oświetlonym. W bramie stało na warcie czterech takich czarnych w zawojach, z karabinami w kosmatych łapskach. Zwierza takie. Na mnie to patrzyli — zjedliby tymi zębami żywego. Ale puścili do środka. Oficer był ze mną i dwóch regulares. Była sala i światła i pełno mundurów, potem korytarz jeden, drugi, trzeci. Mijaliśmy jakąś jadalnię, jak refektarz, były białe obrusy i szkła, zbierano talerze i zapachniało baraniną i oliwą! Myślałem, że mnie zemgli. Głodny byłem. Ale pędzili dalej. I wreszcieśmy doszli. Z korytarza były oszklone drzwi a za nimi duży pokój. Fotele, dywany miękkie wszędzie, portrety czarne takie stare po ścianach i wielki komin a na nim ogień. I było ze dwudziestu może oficerów. Siedzieli, gazety czytali, gadali bardzo głośno. Byli i nie oficerowie, ale wyglądali na oficerów. Mój oficer wszedł do środka. Trzasnął tymi obcasami, spytał jakiegoś grubego, siwego pułkownika. Ten się rozejrzał i wskazał na stolik. Bo były trzy stoliki; w karty sobie grali, skurwysyny. Wskazał na pierwszy. Oficer podszedł i zagadał do jednego grającego, w cywilu. Serce mi zabiło. Powiedziałem sobie: to musi być Polak. Tamten wstał. Ci co z nim grali odłożyli karty. Wtedy zobaczyłem, że tylko jeden z nich, też starszy, na piersiach z całą tęczą orderów, jest Hiszpan, ale dwaj inni nie. Jeden, poznałem, Włoch. Włoskie mundury znałem z kina. Drugi miał jakiś zielonkawy, wcięty mundur. Cywil zagadał coś do mego oficera, ale ten w zielonym coś się wtrącił. Nie wstawał, ale zrobił ruch taki jak rozkaz. I wprowadzili mnie.

Jak wszedłem, zrobiło się cicho, a ja jak popatrzyłem do lustra, to zrozumiałem dlaczego. Lustra były duże na całą ścianę i zobaczyłem jaki byłem: czarny, zarosły, włosy długie i moje granatowe „mono” milicjanta republikańskiego podarte i brudne. A wokoło same ich jaśnie państwo. Ale mnie zmroziło i stanąłem hardy, niech tam, i byłbym tak stał, ale ten zagadał:

„Polak?” To na tę polską mowę, jakiem ja posłyszał, to mnie zmiękło. „Polak” mówię. „Z Polskiście?” „Z Francji”.

A on popatrzył na mnie i gada: A ile wam dali żeście tu poleźli?" O Jezu! tak mi powiedział jak tamten, a Polak. To mnie to tak zaraz zatkało w gardle z żałości i stoje, one się gapią, a ja tylko myśle, że nie, niech co chce, nie będę płakał. Ale on widział i pewnie pomyślał, że mnie skruszył, bo mówi: „Teraz to żałujecie. Wstyd Polsce tylko przynosicie wszyscy. Czerwienić się za was trzeba". Ale się nie czerwienił; tylko głos podniósł. Jakby chciał, żeby wiedzieli drudzy. A potem jakoś zmiękł. „Czego chcecie?" zapytał. Ja już nic nie chciałem, tylko żeby mnie od tych świateł i od tych luster i od tych panów zabrali, alem wyjęczał z siebie: „Polak jezdem..." A on znowu z ostra. Jakby na całą kompanię krzyczał: „Nie jesteście już żaden Polak, bolszewik jesteście, bolszewik. Rzeczpospolita się was wszystkich wyparła i wyrzekła. Rzeczpospolita pozbawiła was obywatelstwa. To macie, na coście zasłużyli. Odmaszerować!" I tak mnie wzięli,ale jeszcze przez drzwi widziałem, jak siadał z powrotem do kart, ale wzburzony jednak taki, a ten czarny Włoch i ten zielony i inni mu potakiwali coś zadowoleni. A mnie było wstyd, i wstyd i wstyd i jak szedłem koło tej sali gdzie jedzeniem pachniało, a byłem głodny, to słowo daję, nie mógłbym nic wtedy ruszyć, nawet gdyby dali. Ale nie dali nic. „Nic ci twój major nie pomógł", zaśmiał się w aucie oficer. A ja nie powiedziałem nic. Tylko myślałem: major? W cywilu był. Major? A ociec bił się w dwudziestym roku! Słowa na wojsko polskie powiedzieć nie pozwalał! Major! Polski Major! Pewno był obserwatorem jakimś, czy korespondentem, jak pan...

Ta część opowiadania kosztowała go najwięcej. Reszta była łatwiejsza. Wypluwał z siebie kawałami, jak krwawą plwocinę suchotnik, nazajutrz rano. Okazało się, że po tej wizycie zapadł w gorączkę. Irlandczyk go odwiedzał, a potem jeszcze dwaj inni jego koledzy. Warta puszczała, bo mieli przepustki, a potem, bo przywykła i że papierosy angielskie im dawali. I jakoś trzy dni potem przyszli pod wieczór, ale w sześciu, poklęczeli przy nim i naraz nasunęli mu na głowę beret taki jakie mieli sami, narzucili taką samą opończę i popod ramiona wyprowadzili. Była noc i wartownik był opity, a drugi w ogóle nie pytał. Przed domem stało ciężarowe auto i siedzieli na nim inni. Byli to wszystko ochotnicy irlandcy, jak ten pierwszy i na mocy jakiejś umowy międzynarodowej mieli wracać do Irlandii. Wielu z nich było rannych ze szpitali. — Rano byli w San Sebastian. — Na widok ich mundurów nie było żadnej kontroli; jeszcze ich kobiety eleganckie, uperfumowane obrzuciły kwiatami, słodkimi pastas, medalikami. I wtedy mu Irlandczyk oddał jego różaniec. Byli też księża i błogosławili im „A ja się tylko bałem, żeby gdzie mego grubego nie zobaczyć; onby mi pobłogosławił! Bo mnie to obdarowali i obmodlili najhojniej jako żem był najbardziej ranny". Wieczorem statek był już na morzu. W dwa dni później byli w Dublinie. „O, to złoty naród, Irlandczycy. I widzi pan, zbawił mnie różaniec".

Naopowiedział mi tyle dnia tego, że myślałem, że jest mu naprawdę lepiej i ze skruchą wysłuchałem przy opatrunku, w ambulatorium, łajania siostry Knight, że męczę go gadaniem. Ale nadszedł doktór, spytał o czym mówimy i wysłuchawszy, powiedział, że nic. Niech mówi. I ja mogę mówić. To mu sprawia ulgę. A zaszkodzić mu już więcej nie może. Powiedział też, że ma w jego sprawie list. „To był jakiś dzielny chłopak; ocalił życie swemu pułkownikowi. Piszą do mnie o jego stan; ma tu ktoś przyjechać go udekorować. Napisałem,

żeby się pośpieszyli. I pan niech będzie dobry dla niego, do końca. Poor boy". —

Wróciwszy z ambulatorium, przyjrzałem mu się uważniej. Doktór miał rację. Jego ręce na kołdrze stały się bardziej żółte i przeźroczyste i przyschłe do kości, a oczy podkrążyły się sino. Tego dnia mówił już mało. Prosił, żeby mu jeszcze powiedzieć „Grenadę" i mówiłem mu ją po dwakroć. Drugiego dnia mówił jeszcze mniej. Ale około południa na końcu sali zrobił się ruch i brzęk jakiś. Leżący popodnosili głowy. Zobaczyłem, jak idzie doktór, siostra i wskazują na nas dwom oficerom, i mówili, żeby szli ciszej. Ale oni widać nie rozumieli; albo nie umieli iść ciszej. Zobaczyłem polskie odznaki.

Wieloletni Attaché wojskowy polski w różnych stolicach, pułkownik dyplomowany N... był w swej roli. Był zarazem wyniosły i ojcowski, surowy i dostojny, bojowy i wytworny. Miał ręce w rękawiczkach z żółtego peccari, a piersi całe w orderach, a elegancki porucznik w wysokich butach był jakby uzupełnieniem jego rękawiczek, odznaczeń i akselbantów. Była to ceremonia najwidoczniej tak dla niego pospolita, jak dla księdza śpiewanie mszy. Zabrał się do niej z godnością.

— Kapral Łaptak Józef?, upewniał się.

Ranny jakby podniósł głowę. Nie mówił nic, ale jakoś zmrużył z wytężeniem oczy. Patrzał w twarz pułkownika. Ten był z kolei ojcowski.

— Skądeście Łaptak?

Ten nie dosłyszał widać, bo jakby go zatkało, tylko patrzył coraz uporczywiej. Pułkownik, dobrotliwie, powtórzył raz jeszcze:

— Z Polskiście?

— Z... z Francji.

Coś naraz było niesamowitego dla mnie w tym głosie, w pytaniu tym, odpowiedzi. Gdzież ja to kiedyś słyszałem? Ale pułkownik był teraz uroczysty:

— Kapralu Józefie Łaptak! Na polu walki z odwiecznym wrogiem naszej ojczyzny zachowaliście się jak prawy i nieodrodny syn naszej wspólnej matki, Rzeczypospolitej. Przynosicie dumę waszej rodzinie i całemu polskiemu wychodźctwu we Francji. W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej, z rozporządzenia jej władz najwyższych, otrzymaliście Krzyż Walecznych!

Miał go w ręce i prawie, prawie, a nachylał się nad Łaptakiem. Ale naraz wyprostował się znowu. W oczach Łaptaka było coś nieprzytomnego tym razem. Myśleliśmy, że schwytał go nagły ból, albo wzruszenie za silne. Aż pułkownik przerażony zapytał:

— Co wam, Łaptak? Słyszycie mnie?

— Słyszę — szepnął ranny tym swoim cichym, wyraźnym głosem — A pan major... pan major... mnie poznaje?

Pułkownik ściągnął brwi. Męczył się. To nieładnie nie poznawać. Królowie i wodzowie muszą mieć pamięć do twarzy. Wyraźnie się męczył. Począł nadrabiać. „Tak, Łaptak, rzeczywiście, zaraz no, zaraz, czekajcie? Gdzież to ja was ostatni raz — —

Od łóżka szedł szept jak syk:

— Pan major mnie tylko raz... To było w Tudeli... Tudela... powtórzył. — A ja byłem...

Twarz pułkownika stała się naraz ciemna, tak napłynęła krwią. Cofnął się o krok od łóżka. Opuścił rękę z orderem. Przystojny adiutant patrzył oniemiały; on jeden tylko nie rozumiał, co się stało. Ale pułkownik był to człowiek bywały.

Opanował się. Zaczął mówić zupełnie innym niż dotąd głosem. Ani uroczystym, ani ojcowskim, ani wodzowskim. Jakimś dziwnie ludzkim.

— Ach to wy, wtedy... Przykro mi... Ja... Doprawdy... Przykro...

Adiutant patrzył oniemiały na swego wodza. Pewno go nigdy nie widział takim. Ja podniosłem się. Patrzyłem na twarz Łaptaka. Znikło z niej naprężenie sprzed chwili. Był tylko bardzo smutny, jesienny uśmiech... „Zdarza się... tak, to ja... dobrze... dobrze... ale... niech pan major... już mnie i teraz... zostawi... mnie... już niedługo..."

Miał rację. Rzeczywiście było niedługo. Lekarz też miał rację. Jakoś ledwo w godzinę potem przysunięto biały parawan, przyszedł ksiądz. Był to czarnooki dominikanin w szerokiej białej sutannie pod czarnym płaszczem i wsunął się w szumie tej sutanny za parawan. Przyszła siostra i doktór i mówili do siebie cicho, aż nie słychać było jego głosu. Leżałem nadsłuchując, kiedy siostra podeszła do mnie i podparła mnie: „On chce pana jeszcze zobaczyć". Myślałem, że mi coś powie, ale poruszał tylko wargami. „Józek, Józek", powiedziałem i myślałem, że może chce tę Grenadę. Ale siostra potrzasnęła głową. „On już nie może mówic, on już nie słyszy. On jeszcze tylko widzi. Może mu pan zrobi jaki znak. Jakiś polski znak". Polski znak? Nie znałem żadnego polskiego znaku. Ale naraz uświadomiłem sobie, że jest jeden znak, jakiego sam nie robiłem, ale który temu człowiekowi wchodzącemu w śmierć przypomni to, co było jego młodością i jego wiarą i jego ofiarą i jego wzlotem i najpiękniejszym i najbardziej gorzkim w jego młodym, dopalającym się, życiu. I tak, aby ją widział, póki jeszcze widzieć będzie, podniosłem pięść, zwiniętą w kułak pięść, jak oni podnosili ją w Hiszpanii. Tak to był Znak. I trzymałem ją tak na jego oczach, aż odwracały się w górę, stawały znieruchomiałe i szklane, i nim nie włożyłem mu, na zawsze, ten jego wykupiony różaniec.

ALEKSANDER PUSZKIN

EUGENIUSZ ONIEGIN

Przekład Juliana Tuwima

XXI.

Oczarowany od lat wczesnych
Uroczą Olgą, kochał ją
Bez mąk serdecznych, ran bolesnych,
I jak w obrazek patrzał w nią.
Dzieci bawiły się wesoło,
A już się ojcom-przyjaciołom
Marzyło w głębi serca, że
Dozgonny związek złączy je.
Tak w głuszy kwitła, na zabawie
Bez trosk spędzając dzień za dniem,
Owiana niewinności tchem,
Niczem konwalja w głuchej trawie:
Ni motyl do niej drogę zna
Ni pszczoła tajny dostęp ma.

XXII.

To jej, bohdance swej, zawdzięczał
Miłości pierwszy sen i dreszcz,
I dla niej pierwszą pieśń młodzieńczą
Wyśpiewał, tęskniąc, przyszły wieszcz.
Żegnajcie, dawne złote wczasy!
Pokochał gęste gaje, lasy,
Milczenie nocy, migot gwiazd,
Samotność i księżyca blask —
Księżyca, lampy niebios wiecznej
Co wiodła nas przez nocne mgły
I oglądała nasze łzy,
Osłodę męki, łzy serdeczne,
A dzisiaj nie widzimy w niej
Nic więcej, prócz latarni mdłej.

XXIII.

Wesoła zawsze jak poranek,
Gościnna (z czego słynął ród),
Słodka jak uścisk zakochanych,
Z naiwnem sercem, pełnem cnót.
Oczy jak niebo, srebrnogłosa,
Czarowny uśmiech, kibić — osa,
Ząbki — perełki, włosy — len,
— Ach, Olga... Ale portret ten
Powtarza się w powieściach wiecznie.
Miły bo miły. Dawniej sam
Lubiłem go śród pięknych ram,
Ale mnie znudził tak serdecznie,
Że dziś go już nie mogę znieść;
Do starszej siostry wolę przejść.

XXIV.

Na imię było jej Tatiana,
Co u nas niezwykłością jest.
W powieściach dotąd rzecz nieznana
Dostaje tutaj pierwszy chrzest.
Bo choć służebną trąci izbą
I myszką i staroświecczyzną,
Jest miłe i przyjemnie brzmi.
Smaku nam brak, przyznajcie mi.
Kto się w imiona nasze wsłucha
(Nie mówiąc już o wierszach), wie,
Że z oświeceniem u nas źle:
Prawdziwy kwiatek do kożucha,
A cały z niego profit nasz
To fochy i wytworny fałsz.

XXV.

Więc, mówię, zwała się Tatiana.
Któż w nich domyśliłby się sióstr?
Jedna wesoła i rumiana,
Z uśmiechem na koralu ust,
A druga smutna i bolesna,
Płochliwa jak sarenka leśna,

Śród swych najbliższych, w domu swym,
Jak cudza rosła, obca im.
W dzieciństwie zabaw unikała
Ni figle nie nęciły jej,
Do ojca i do matki swej
Pieszczotą się nie przymilała,
Lubiła przy okienku siąść
I patrzyć w dal i dumy prząść.

XXVI.

Zaduma, przyjaciółka Tani
Od niemowlęcych prawie dni,
Zdobiła życie marzeniami
Na cichej i ustronnej wsi.
Nie znała igły rączka wątła
I nie ciągnęła nitki z wątka,
Żeby jedwabny równy ścieg
Ożywił barwą płótna brzeg.
Zaczątek żądzy panowania:
Posłuszną lalką bawiąc się,
Dziewczynka ją pouczyć chce,
Strofuje i do cnót nakłania,
Z powagą powtarzając jej
Morały rodzicielki swej.

XXVII.

Lecz lalka, nawet w owe lata,
Tak mało obchodziła ją:
O modnych komerażach świata
Nic Tania nie mówiła z nią.
Lubiła klechd i baśni słuchać,
Gdy wyła śnieżna zawierucha,
I strasznych opowieści splot
Wolała od dziecinnych psot.
A gdy dla Oli dobra niania
Na świeżą zwoływała ruń
Jej małych przyjaciółek rój,
Stroniła od ich zabaw Tania
I nudził ją wesoły śpiew
I szumne gry i dźwięczny śmiech.

XXVIII.

Lubiła nocą na balkonie
Jutrzenki wypatrywać brzask,
Kiedy na bladym nieboskłonie
Znikają korowody gwiazd
I krawędź nieba różowieje
I zwiastun świtu, wietrzyk wieje,
I zwolna wschodzi jasny dzień.
A zimą, kiedy nocy cień
Połowę ziemskiej sfery skrywa
I w mroku tonie świata spód
I błogo śniąc, leniwy wschód
We mgle księżyca odpoczywa, —
Przy świecy jeszcze, dzień po dniu,
Zrywała się z czujnego snu.

XXIX.

Jej drugiem życiem książki były,
Romanse porywały ją.
Kochała się w zmyśleniach miłych
I Richardsona i Rousseau.
Jej ojciec, poczciwości człowiek,
W poglądach był spóźniony o wiek,
Lecz pobłażliwość miał dla ksiąg,
Nigdy nie biorąc ich do rąk.
Jako zabawę je traktował
I wiedział, że nie runie dom,
Chociaż córeczka tajny tom
Do rana pod poduszką chowa.
Lecz żonę, wzorem innych żon,
W zachwyty wprawiał Richardson.

XXX.

Wielbiła swego Richardsona
Nie przeto, że czytała go,
I nie szło jej o Grandisona,
Ani jej o Lovelace'a szło,
Ale moskiewska jej kuzynka,
Urocza księżna Paulinka,
Opowiadała o nich wciąż
Za czasów, gdy obecny mąż
Był narzeczonym — nie z wyboru;
A serce jej naówczas skradł
Ktoś inny całkiem — modniś, chwat,
Co znacznie więcej miał walorów.
Ów Grandison grał w karty, pił
I gwardyi sierżantem był.

XXXI.

Jak on, posłuszna prawom mody,
Budziła podziw gustem swym.
Aż, bez jej zgody czy niezgody,
Ślub wyprawiono — lecz nie z nim.
By ją pocieszyć, i z rozsądku,
Mąż wnet ją zawiózł do majątku,
Gdzie ją otoczył cały tłum,
Niewiarogodnych cioć i kum.
Płakała, wszystko ją raziło,
Chciała się rozwieść. Wreszcie ją
Wciągnęło gospodarstwo, dom,
Przywykła — i już dobrze było.
„Priwyczka swysze nam dana
Zamiena sczastiju onà".*)

*) Dwuwiersz ten, który stał się rosyjskim zwrotem przysłowiowym, zostawiam w brzmieniu oryginalnym, gdyż jak dotychczas, nie udało mi się przetłumaczyć go dostatecznie dobrze. Dosłownie: „Przyzwyczajenie jest nam dane przez Opatrzność. Zastępuje ono szczęście".

XXXII.

Ulżyło jej przyzwyczajenie,
Lecz ból serdeczny ciągle ćmił.
Zupełnem wreszcie ukojeniem
Wspaniały pewien pomysł był.
Wygrała walkę tym orężem;
Odkryła sekret, jak nad mężem
Sprawować absolutny rząd.
Zbawienny był ten nowy prąd.
To chłopów pędzi na robotę,
To przy rachunkach, to na mszy,
Ogórki kwasi, goli łby,
Do łaźni chodzi co sobotę,
Służące bije — wodzi rej
Bez męża, według woli swej.

XXXIII.

Dziewojom czułym wpisywała
Poezje do albumu krwią,
Praskowię Celestyną zwała
I zamiast *on* mówiła *ą*,
Przez nos, z francuska... Gorset modny
Nosiła, bardzo niewygodny,
I śpiewnym tembrem głos jej drżał.
Cały ten kram niedługo trwał:
Sztambuchy poszły w zapomnienie,
Jak gorset i *comtesse Pauline*,
Znów było Filonowi Klim,
A Fiokła dawnej Celimenie,
Marzenia prysły, minął wdzięk,
A nastał szlafrok, kluczy pęk...

XXXIV.

Lecz mąż fantazjom jej pobłażał,
Bardzo ją kochał, nawet czcił
I za wyrocznię ją uważał,
A sam w szlafroku jadł i pił.
Spokojny żywot wiódł pan dziedzic.
Bywało, zjadą się sąsiedzi:
Z serca do serca, za pan brat,
Pogwarzą, obgadają świat,
Pożalą się, pośmieją szczerze,
Nie zdąży się obejrzeć człek
A czas na pogawędce zbiegł,
Już Olga prosi na wieczerzę,
Więc naje się sąsiedzka brać
I — czas do domu, pora spać.

XXXV.*)

. . . .

*) Strofę tę, zawierającą opis tradycyjnych rosyjskich obyczajów, pozostawiam tymczasem bez przekładu.

XXXVI.

I tak starzeli się oboje,
Aż wreszcie przed małżonkiem cnym
Grobu rozwarły się podwoje
I światłość wieczna była z nim.
Tuż przed obiadem cicho skonał.
Płakała nad nim wierna żona
I dzieci i sąsiedzi dwaj.
Przypadnie poczciwcowi raj,
Bo to był prosty, dobry *barin*;
A tam gdzie spoczął w wiecznym śnie
Nagrobny kamień wznosi się:
„*Pokorny grzesznik*, *Dmitrij Łarin*,
Rab boży i brygady szef
Na archanielski czeka zew".

XXXVII.

Gdy do penatów swych powrócił,
Odwiedził Lenskij skromny grób,
Zamyślił się, westchnieniem uczcił
Popioły śród mogilnych grud.
I długo dumy snuł zawiłe:
„Poor Yorrick!" rzekł. „Gdy dzieckiem byłem,
Na rękach często nosił mnie.
Pamiętam, jak bawiłem się
Medalem jego oczakowskim.
Przeznaczył dla mnie Olgę... Wiem,
Jak bardzo tęsknił za tym dniem"...
Tu — z żalu i serdecznej troski —
Nakreślił epitafjum dlań —
Wdzięcznego serca czułą dań.

XXXVIII.

Był obok inny głaz cmentarny,
I smutnym wierszem uczcił syn
Rodziców proch patryarchalny.
Cóż! zrządził los wyrokiem swym,
Że kłosy na życiowej niwie
Padają w błyskawicznem żniwie,
Dojrzewa potem nowy plon
I znów go czeka wzrost i zgon.
Tak ród nasz wietrzny, od pokoleń,
Buzuje, wre, naoślep gna
I dziadów do mogiły pcha.
Ale i nasza przyjdzie kolej,
I nasze wnuki wyprą nas
Ze świata pod mogilny głaz.

XXXIX.

Tymczasem — niech was oszałamia
Upojne wino lotnych dni!
Żywota marność dobrze znam ja
I łatwo się rozstanę z nim.
Już nie mam złudzeń. Ale nieraz
Nadzieją trwożną serce wzbiera,

Zaczyna marzeniami żyć...
Markotno tak bez śladu zgnić
I nic po sobie nie zostawić.
Gdy piszę, nie o sławie śnię...
A czuję, że coś korci mnie,
By smutne dzieje swe rozsławić,
By o mnie, jak oddany druh,
Choć jeden dźwięk przypomnieć mógł.

XC.

I tej jedynej pragnę chwały,
By czyjeś serce wzruszył on.
I może strofy ocalałej
Letejska nie pochłonie toń.
I już mi się w marzeniach roi,
Że przed portretem moim stoi
Prostaczek ciemny przyszłych dni
I „To ci był poeta!" grzmi.
Więc przyjmij dzięki me stokrotne,
Czcicielu cichych Muz! O, ty,
Co z zapomnienia gęstej mgły
Dobędziesz twory me polotne,
A laur, zdobiący starczą skroń,
Poklepie twoja zacna dłoń.

New York, grudzień 1945 — *styczeń* 1946.

CZESŁAW MIŁOSZ

GRANICE SZTUKI

(St. Ign. Witkiewicz z perspektywy wojennych przemian.)

I.

St.Ign.Witkiewicz przepowiadał, że „etyka pożre metafizykę" i że przyszła ludzkość będzie szczęśliwa, ale nie będzie znała trzech rzeczy: filozofii, sztuki i religii, które już dzisiaj przeżywają swój okres schyłkowy. Nie jest moją rzeczą szukać wyjaśnienia skąd wzięło się u Witkiewicza takie przekonanie, to znaczy nie będę ani cytować autorów pod których wpływem mógł być, ani zajmować się źródłami ogólno-europejskiego katastrofizmu. Powinno nam wystarczyć, że znalazł się w Polsce jegomość dużego formatu, który pomimo wielu swoich dziwactw i niepowodzeń artystycznych i tak stał niepomiernie wyżej od większości swoich współczesnych. Spory i polemiki w Polsce dwudziestolecia wydają się dosyć miałkie, jeżeli zestawić je z tym, o co chodziło Witkiewiczowi. Poza tym atmosfera dwudziestolecia została znacznie lepiej opisana w jego dwóch fantastycznych powieściach, niż w wielu nibyrealistycznych książkach cenionych powieściopisarzy.

Żeby to zrozumieć, trzeba było przekroczyć rok 1939 — zakończenie „Pożegnania jesieni" i „Nienasycenia" jest zresztą akurat takie same jak koniec Polski Piłsudskiego. Temat tych powieści można tak streścić w paru słowach: tematem jest rozkład pewnej cywilizacji, z czego większość ludzi nie tylko nie zdaje sobie sprawy, ale ulega nawet miłemu złudzeniu, że

ten rozkład jest dowodem zdrowia i siły. Tylko nieliczne jednostki czują, że to są ostatnie dni — ale właśnie dlatego, że są to osobniki zdegenerowane, które jeszcze telepią się w tej fazie cywilizacji, którym jeszcze wolno istnieć — w następnej fazie, gdyby do niej dotrwały, czekałby je tylko obłęd, albo to, co wybrał sam Witkiewicz — duża dawka weronalu i przecięcie sobie żył. Zresztą o tym później. Narazie jeszcze pochwała języka jakiego używał Witkiewicz: jest to język absolutnie uczciwy, męski — wbrew pozorom prosty — żadnych ornamentów, metafor dla wdzięku, subtelnych kadencyj zdań i t.p. wybiegów.

Język ten ma wielkie wady, ale nie ma jednej, największej, jaką była rozpowszechniona ostatnio préciosité i podejrzana melodyjność, tak uparcie cechująca polską prozę, że trudno od niej się wyzwolić, pisząc po polsku. Witkiewicz starał się naładować język znaczeniem do maximum — i jeżeli niektóre fragmenty jego powieści robią wrażenie wielomówności — to nie dlatego, żeby upajał się muzyką stylu — to po prostu sens, który chciał wyrazić traci czasem ważność dla późniejszego czytelnika. Te właściwości języka występują w powieściach i rozprawach — czyli w tych formach wypowiedzi, których nie uznawał za twórczość artystyczną. O jego licznych dramatach nie podejmuję się mówić, tak samo jak i o jego malarstwie.

Pośród jego wad najbardziej nużąca jest skłonność do wyolbrzymiania pewnych procesów psychicznych, wyrażająca się w nadużyciu mocnych epitetów. To wskazuje, że wyszedł ze szkoły Młodej Polski i że był całkiem daleko od umiaru. „Przepotwornienie" jego powieści sprawia, że trudno je zaliczyć do literatury, mającej szanse przetrwania inaczej niż jako dokument, jako treść, jako ładunek myślowy.

Nie należy sądzić, że takie objawy jak filozofia, religia i sztuka są wieczne — pojawiają się one na pewnym stopniu rozwoju, po czym mogą zaniknąć. Doprowadzi do tego postępujące ciągle naprzód uspołecznienie.

Zbliżające się wojny, rzezie i rewolucje nie doprowadzą w ostatecznym wyniku do jakiejś pierwotnej anarchii. Przeciwnie, ich skutkiem będzie zwycięstwo sprawiedliwości społecznej i przejście władzy w ręce mas pracujących całego świata. Proces demokratyzacji jest nieodwracalny i w żadnym razie nie moglibyśmy powrócić do stanu, gdy nieliczne silne i wspaniałe jednostki rozwijały się kosztem poniżenia milionów. Indywidualność przeciętnego obywatela doszła do głosu po raz pierwszy w Grecji, gdzie każdemu zapewniona była wielka swoboda myśli. Gdy jednak myśl indywidualna, zrodzona w Grecji, osiągnęła duże wyniki, wyniki te zostały przyswojone przez społeczeństwa, które już we własnym interesie zaczęły indywidualność tępić. Konieczność sprostania wymogom techniki i zadośćuczynienia przy jej pomocy postulatom etycznym wywodzącym się z chrześcijaństwa musi doprowadzić stopniowo do zupełnej automatyzacji, to znaczy obywatelom nie będzie zostawiona żadna swoboda dociekania, a wolność wyboru takiego czy innego trybu życia również będzie bardzo ograniczona. Oczywiście najistotniejszą cechą automatyzacji jest zupełna szczęśliwość obywateli, którym zdaje się, że hasła propagandy są ich własnymi myślami i którym zupełnie wystarcza ich miejsce w maszynie społecznej.

Witkiewicz uważał siebie przede wszystkim za filozofa i to filozofa z gatunku już zanikającego — bo zajmował się istotą

bytu i dociekanie matafizyczne uznawał za jedynie godne filozofii. Jednym z podstawowych pojęć jego systemu było pojęcie Tożsamości Faktycznej Poszczególnej. Tę nazwę wywodził z poczucia tożsamości ze sobą samym jakie ma poszczególny człowiek i nie tylko człowiek — teorytycznie każde Istnienie Poszczególne. Poczucie to, trudne do opisania, dane jest w doświadczeniu i trzeba odwołać się do pewnych przeżyć w godzinach świtu, bezpośrednio po przebudzeniu się, których zaznał być może słuchacz. Jest to rodzaj zdumienia nad faktem, że jest się sobą, że się nie było i że się dąży ku śmierci, a jednak się jest — i że się stanowi niepojętą jedność w wielkości swoich stanów i otaczającego świata. Jeden z angielskich „poetów metafizycznych" (Traherne) pisząc pieśń nowonarodzonego dziecka, wkłada mu w usta podziw nad posiadaniem rąk, nóg, oczu, ust; „lecz dziw, którego nie ogarnie słowo: że, choć nie było mnie, dziś jestem sobą" — powiada dziecko. To właśnie zdumienie miał na myśli Witkiewicz.

Pytania: „Czemu ja jestem tym właśnie, a nie innym istnieniem? w tym miejscu nieskończonej przestrzeni i w tej chwili nieskończonego czasu? w tej grupie istnień, na tej właśnie planecie? dlaczego w ogóle isnieję, mógłbym nie istnieć wcale; dlaczego w ogóle coś jest?" i t.p. — są zmaganiem się z tajemnicą, z którą ludzkość zmaga się od początku, a zasadą tej tajemnicy jest zasada Tożsamości Faktycznej Poszczególnej. Właśnie z tego, że jestem tożsamy ze sobą i że stanowię jedność w trwaniu i rozciągłości, płynie niepokój metafizyczny czyli metafizyczne poczucie dziwności istnienia. Ten niepokój doprowadził do powstania religii, filozofii i sztuki.

Odpowiedzi na niepokojące pytania ludzkość szukała najpierw w religii. Religia jednak straciła wpływ no przodujące umysły z chwilą, gdy dociekanie prawdy istnienia wzięła na siebie filozofia. Religia zaczęła wtedy kostnieć, ograniczając się do mechanicznie uznawanych obrzędów i dogmatów, przestała zaspakajać metafizyczne niepokoje wyznawców, którzy szukali odtąd wyładowania niepokoju w innych dziedzinach. Zaszło to w Grecji i zaszło w Europie przy końcu średniowiecza.

Przez długie stulecia filozofia tworzyła systemy mające na celu odkrycie Prawdy Absolutnej. "Nasi przodkowie dążąc do nieosiągalnej absolutnej prawdy, starali się wyjść poza przekleństwo Zasady Tożsamości Faktycznej Poszczególnej, zdudować gmach myśli której czas nie mógłby naruszyć, system pojęć wyjęty spod przypadkowości danego układu, obowiązujący całe istnienie". Niezależnie od względnej błędności tych systemów, trzeba stwierdzić, że „tylko wiara w obiektywną prawdę stworzyła istotnie wartościowe systemy pojęć i idee". Stopniowo jednak filozofia doszła do punktu, gdy spostrzegła, że jest granica rozwoju naszych pojęć i że używając pojęć nam dostępnych wyczerpaliśmy w grubszych zarysach wszystkie kombinacje, zmierzające do pokonania tajemnicy. Na nasze czasy przypadł odwrót filozofii. Filozofowie postąpili jednak jak ów lis z bajki — ponieważ winogrona okazały się za wysoko, orzekli że są zielone i szkoda trudu na ich zdobywanie. Ścisła współzależność z przemianami społecznymi, które przytępiają ostrość przeżywania tajemnicy — spowodowała gorączkową działalność negowania tajemnicy — na papierze. Problemy nierozwiązalne uznano za pozorne, starając się wykazać, że polegają one na nieporozumieniach. Witkiewicz żywi bezgraniczną pogardę dla pragmatystów i dla Bergsona — bo u nich

właśnie najdoskonalej wyraziła się niechęć do walki o surową, jednoznaczną prawdę. Każda teoria — powiada Witkiewicz — jest z pewnego punktu widzenia omamianiem się, aby potworności istnienia bezpośrednio nie przeżywać. Ale co innego jest stchórzyć i iść do szynku, oszałamiając siebie świadomie, a co innego stanąć z trudnościami twarzą w twarz.

Pragmatyści wynieśli do godności prawdy wszelkie irracjonalne bzdury, jeżeli te bzdury są pożyteczne dla rozwoju społeczeństw. „Idee, o które się starano dawniej, były niezależne od bezpośredniej użyteczności i nie przez to były one prawdziwe lub fałszywe, że pomagały lub szkodziły danej grupie społecznej. Może być, że miały one wartość dla tej lub innej klasy, ale wartość ta nie była kryterium dla ich twórców. Pragmatyzm był zawsze, ale nie był programowym; w programowości pewnych idei zaznacza się charakterystyczna właściwość naszych czasów". Duch ludzki starał się wyjść z błędnego koła prawd względnych i „z nadludzkim zaiste wysiłkiem dążył, w straszliwej walce z Tajemnicą, do absolutnych wartości". „W ciągu całej tej walki z Tajemnicą o prawdę, spadały z Tajemnicy coraz to nowe zasłony i przyszedł czas, że ujrzeliśmy nagie, twarde ciało, z którego nic się już zdjąć nie da, nieprzeniknione i nieprzezwyciężone w swej obojętności martwego posągu". Pragmatyści starają się ten posąg zdruzgotać, po prostu zaprzeczają, że jest. Bergson znowu zaleca jakieś nowe poznanie „intuicyjne", poza rozumowaniem według praw logiki. Czyż na to — zapytuje Witkiewicz — ostrzyliśmy nasz umysł przez tyle wieków, aby oddać wszystko, co już jest zdobyte, za nędzny majak prawdy, za intuicyjne bredzenie? Ale należy się nam to słusznie. „Każda bowiem epoka ma taką filozofię, na jaką zasługuje. W obecnej naszej fazie nie zasługujemy na nic innego, jak na najpodlejszego gatunku narkotyk w celu uśpienia w nas anty-społecznego, przeszkadzającego w automatyzacji metafizycznego niepokoju".

Tak więc filozofia kończy swój żywot przez powolne samobójstwo, udając przed światem, że jeszcze żyje. Wszystko, czym się zajmują filozofowie, uśmierciwszy metafizykę, nie jest niczym innym niż oględzinami trupa i sporządzaniem aktu zejścia. Piszą całe tomy po to aby udowodnić niemożliwość filozofii i wykazać, że wartość jej czysto umowna i praktyczna, że to tylko piana na powierzchni biologicznych czy też społecznych procesów.

Pozostaje sztuka. Religia i filozofia starały się zintelektualizować niepokój metafizyczny. W przeciwieństwie do tego sztuka jest uzewnętrznieniem bezpośredniego przeżywania niepokoju.

Uczucie metafizyczne, które jest źródłem twórczości i jądrem każdego dzieła sztuki, polaryzuje się w warstwie zwyczajnych uczuć życiowych i wyobrażeń, w warstwie intelektu i w warstwie Czystej Formy czyli jakości zmysłowych prostych. Jest to jakby promień, który przebija te warstwy i łączy je w nierozerwalną jedność.

Jedność w wielości — taka jest definicja dzieła sztuki. Osobowość ludzka, będąca również jednością w wielości utrwala tę swoją jedność w symbolach, przez to, że zostają one połączone w sposób konieczny. Dzieło sztuki dostarczając tworzącemu je artyście najwyższego poczucia jego własnej jaźni, z kolei, przez swoją wewnętrzną prawidłowość i konieczność budzi w odbiorcy niepokój metafizyczny. Cechą, odróżniającą dzieło sztuki od innych rzeczy pięknych jest to, że jedność jest

jego wyłącznym celem. Dlatego np. w obrazie zupełnie nieważne jest, że przedstawia on takie czy inne osoby, albo że oddaje wiernie jakiś krajobraz. Ważne są tylko napięcia kierunkowe (termin wprowadzony przez Witkiewicza) wywoływane przy pomocy pendzla i nie ma znaczenia czy do wytworzenia ich malarz użył ludzkich twarzy, drzew, kominów, czy też tylko linij i płaszczyzn, nie przedstawiających, z życiowego punktu widzenia, nic.

Co więcej, ideałem byłoby wyzwolenie się od elementów nieistotnych, które przeszkadzają tylko osiągnięciu jedności. Malarstwo „z natury", a więc chcące wiernie oddać naturalne barwy i kształty przedmiotów, ich bryłowatość, perspektywę i t.p. zaprzęga się w służbę spraw najzupełniej obcych sztuce. Czysta Forma w malarstwie nie ma nic wspólnego z notowaniem otaczającej nas rzeczywistości, tak samo jak Czysta Forma w muzyce nie ma nic wspólnego z wyrażaniem t.zw. uczuć życiowych, a więc smutku, radości, tęsknoty i t.d. Oczywiście dopatrywanie się w dziele sztuki treści i formy dowodzi tylko niezrozumienia na czym sztuka polega, bo nie ma żadnej „treści" artystycznej, która by dała się od formy oddzielić.

W biegu historii człowiek i jego dążenia metafizyczne ulegają wielkim zmianom. W dawnych czasach, gdy znajdował dla nich wyładowanie w religii — zachowywał pewnego rodzaju równowagę wewnętrzną i formy sztuki jakie wtedy tworzył miały powagę spokojnego piękna. Kiedy jednak religia straciła swoją siłę przekonywania, a filozofia gasła, likwidując sama siebie, człowiek, nienasycony metafizycznie, kurczowo chwycił się sztuki i zaczął jej przekazywać swój lęk i chorobliwość. Dawna spokojna forma, wynaleziona przez ludzi znających i inne ujścia dla niepokoju, przestała mu wystarczać, zbyt wiele już teraz od niej żądał, ona miała mu zastąpić dawny dogmat, obrządek i dociekanie o istocie bytu. Coraz bardziej sprzeczne i odległe od siebie pierwiastki musiał łączyć w jedno, aby w ten sposób zdobyć chwilę krótkotrwałego zaspokojenia.

Gdyż im bardziej buntownicze, rwące się ku niezawisłości elementy ujarzmia artysta, tym ostrzej przeżywa stan o którym mowa; stan ten jest silniejszy, jeżeli zdobyty za większą cenę. Zjawisko to, które Witkiewicz nazywa nienasyceniem formą, prowadzi do coraz większej komplikacji użytych środków. Sztuce współczesnej już nie dosyć harmonii i symetrii — upaja się ona dysonansami, zgrzytami, niepokojem asymetrycznych i zwichrzonych płaszczyzn. Prowadzi to do perwersji — t.j. do używania jako materiału elementów wstrętnych, dziwacznych — rażących barw, niesamowitych dźwięków. Pojawia się perwersyjna prostota, a więc prostota na niby, kryjąca w sobie ładunki olbrzymiego skomplikowania i utajonej potworności. Sztuka staje na pograniczu obłędu, bo ludzie, którzy dzisiaj ją tworzą są zdegenerowanymi potomkami dawnych mistrzów, obcujących niegdyś dostojnie z Tajemnicą i kształtujących swoje dzieła w świecie ułagodzonym przez religię. A jednak wariackie dzieła jakiegoś Van Gogha czy Picassa są jedyną postacią piękna nam dostępną. Aby czuć to, co czuł Giotto malując swoich świętych i widz ówczesny — my musimy spotęgować dawkę i iść ku ostatecznej niemożności — ku absolutnemu nienasyceniu formą, kiedy wyczerpią się wszystkie ograniczone kombinacje jakości zmysłowych, jakie jeszcze mamy do rozporządzenia. Wtedy sztuka zamrze ostatecznie, choć długo ją jeszcze będą podrabiać, a osobniki, zdolne do przeżywania metafizycznego

niepokoju ale już niezdolne do żadnej realizacji, czyli potencjalni artyści — zostaną zamknięte w zakładach dla umysłowo chorych. Już dzisiaj jednostki obdarzone poczuciem Tajemnicy należą do wyjątków — reszta dojrzewa szybko do automatyzacji uznając ze sztuki tylko to, co potrąca o ich zainteresowania polityczne (patriotyzm, przebudowa społeczna).

Stąd m.innymi pochodzi dzisiejszy rozdźwięk między artystami i społeczeństwem — wybitne dzieła współczesne nie mają najmniejszych szans „trafienia pod strzechy". Jest bajką, co opowiadają nam niektórzy o przyszłej świetlanej epoce: według nich z masy ludowej, wydźwigniętej na wyższy poziom przez ustrój, który zapewni sprawiedliwy rozdział dóbr, wyjdą wielkie talenty, dotychczas marnowane. Ustrój, który by podołał nieprawdopodobnej komplikacji życia ekonomicznego naszych czasów sam musi zniweczyć ten rezultat wyswobodzenia masy: chłopak, który teraz pasie może krowy, zostanie dopuszczony do udziału w kulturze, ale nigdy nie będzie miał takiego luksusu jak samodzielność intelektualna. Pośpiech mrowiska wprzęgnie go w swoje tryby, nie będzie znał też samotności, z której rodzi się metafizyczne zdumienie. Będzie szczęśliwy. Cóż nam zostaje, jeżeli nie wartości etyczne? „Piękno jest w obłędzie, prawda leży u naszych nóg, rozszarpana przez współczesnych filozofów i z tej trójcy ideałów zostaje nam tylko dobro, t.j. szczęśliwość wszystkich tych, którzy nie mieli siły aby tworzyć piękno, ani dość odwagi, aby tajemnicy patrzeć prosto w oczy". Etyka pożre metafizykę — i trzeba to przyjąć bez wylewania łez, jako rzecz naturalną, podobnie jak przyjmujemy fakt, że ludzie umierają, a dojrzałe jabłka spadają na ziemię. Może to być przykre dla zdegenerowanych potomków dawnej cywilizacji. „Z bydła wyszliśmy i w bydło się obrócimy" — mówi jeden z bohaterów Witkiewicza. Niemniej bolesne to będzie tylko dla nielicznych i nieliczni tylko zdadzą sobie sprawę, że zamknął się ten rozdział.

Zwycięstwo etyki oznacza zwycięstwo wartości względnych nad bezwzględnymi. Wszelkie próby metafizycznego uzasadnienia etyki, czyli nadania jej znaczenia prawideł powszechnych, stałych i niezmiennych byłyby zupełnie beznadziejne. Przepisy etyki zawsze przedstawiają pewien punkt widzenia użytkowy — są one wykładnikiem interesów takiej czy innej grupy społecznej i mają znaczenie tymczasowe, wychowawcze. Religia, filozofia i sztuka są tworami czysto indywidualnymi, wyrażają stosunek indywiduum do Istnienia — natomiast etyka przedstawia związki indywiduum ze społecznością — związki, ulegające ciągłym zmianom.

Streściłem na ile to możliwe, poglądy Witkiewicza, bo tak nakazuje uczciwość. Witkiewicz uważał intelekt za jedyną rzecz cenną w człowieku i chciał żeby go traktowano jako filozofa, a nie artystę — sam przyznawał się do bankructwa swoich zamierzeń artystycznych. Teraz można sobie pozwolić na kilka uwag.

Pomysły, polegające na ustaleniu cyklów w rozwoju ludzkości, szczególnie jeżeli zmierzają do oświetlenia tak czy inaczej jednego, krótkiego momentu — a więc t.zw.naszych czasów — budzą podejrzenia. Mitologiczne ujęcie starożytnych Germanów przez niemieckich uczonych jest aż nazbyt jaskrawym przykładem. Zawsze powstanie wątpliwość, czy nie chodzi tu o zmitologizowanie współczesności z różnych powodów, przy czym pojęcia współczesne przerzuca się na ludzi dawnych epok,

którzy ani tych pojęć nie mieli, ani nie przeżywali zjawisk tak jak my — i ci ludzie dawni, odpowiednio spreparowani, mają służyć za dowód słuszności jakiejś tezy. Kiedy Witkiewicz pisze o dawnych artystach („mięśnie jak liny stalowe"), albo o dawnych władcach, przeżywających dziwność istnienia w gigantycznym wymiarze, dzięki nieograniczonej swobodzie indywidualności — nieraz zdarza się nam podrzucić przekornie, że ani dawni artyści nie byli znowu tak zdrowi, jak chce Witkiewicz, ani dawni władcy nie obracali się w sferze doznań tak wysokiego gatunku, a okrucieństwa, przez nich dokonywane, rzadziej wynikały z ich pańskiego kaprysu, a częściej z prawideł walki o władzę.

Upiększenie przeszłości jest w ogóle bardzo ciekawym fenomenem i u niektórych jest prawdziwą obsesją. Rousseau upiększał człowieka pierwotnego, ludzie Renesansu — Grecję, Stendhal — ludzi Renesansu, między 1918 i 1939 upiększano średniowiecze, przy czym tęsknota do dawnej rzekomej wspaniałości połączona jest zwykle z niechęcią do dnia dzisiejszego. Witkiewicz ma wyraźną obsesję zmierzchu. To przerażenie niezupełnie mieści się w ramach intelektualnych — jest to przeczucie, które nawiedziło ludzi wrażliwszych zwłaszcza w Polsce, oddzielonej wątłą granicą od nowego świata na Wschodzie. Nie wiadomo, może różne pesymizmy polskie tego okresu, to był po prostu „trepiet maławo pried bolszim" — drżenie małego przed większym — a wszystko inne to tylko wtórne rzeczy, dodatki, ozdobienia? W każdym razie w obu powieściach Witkiewicza nowa cywilizacja automatów przychodzi ze Wschodu — raz jako rewolucja niwelistów, drugi raz jako najazd wojsk chińsko-mongolskich na Europę. W obu powieściach finałem jest śmierć na tle pięknej polskiej jesieni — w „Nienasyceniu" polskiego dyktatora Kocmołuchowicza ścinają Chińczycy, w „Pożegnaniu jesieni" niweliści stawiają Bazakbala pod ściankę. Witkiewicz popełnił samobójstwo, gdy Czerwona Armia weszła na wschodnie połacie państwa polskiego — i stało się to na tle takiej samej przyrody.

Polska w tych powieściach (jakaś fantastyczna Polska, niby przeniesiona w przyszłość, a właściwie Polska dwudziestolecia) jest przedstawiona jako twór nietrwały, trzymający się kupy trochę z poparcia zachodnich demokracyj, trochę siłą bezwładu. Panuje w niej optymistyczna senność i żądza użycia, a nad tym wszystkim wisi na cienkiej nitce głaz nieuniknionej katastrofy. Nie ma znaczenia, czy ten obraz jest prawdziwy czy nie—ważne jest, że na kierunek pomysłów Witkiewicza mocno wpłynęła rozterka polskiej słabości, nadając im zupełnie już beznadziejne zabarwienie. Wiara w nieodwracalność dziejowego procesu i zarazem bierne zapatrzenie w ten proces jakby się było zamagnetyzowanym—to objaw bardzo rozpowszechniony w latach międzywojennych. Witkiewicz rozumiał wagę przemian zachodzących w Rosji—ich dynamika, zestawiona z beztroską polskiego życia przypominała ciągle o kruchości peryferyj kapitalizmu. Fatalizm historyczny—który utorował drogę wielkim ruchom masowym i przez to wojnie—osiąga u niego wyjątkowe napięcie. To, że starał się iść przeciw fali i z góry wiedząc o przegranej robił swoje — włącza jego prace w jedyny chyba poważny prąd dwudziestolecia—w walkę bez wizji nagrody. Będąc przekonanym o zgonie metafizyki pisze rozprawę w której wykłada swój metafizyczny system. Będąc przekonanym że automatyzacja i spętanie intelektu są nieuniknione—przy każdej okazji broni

praw intelektu (co prawda nawołując do zajmowania się filozofią za jedyną godną tej nazwy uważa filozofię niemiecką XIX wieku . . .) Chwilami chce nawet wierzyć w możliwość planowego użycia automatyzacji do wskrzeszenia filozofii i sztuki —ale równocześnie wie, że byłoby to daremne. Jego bohater, Bazakbal, mając już popełnić samobójstwo na słowackiej granicy zostaje nagle nawiedzony przez myśl, że przecież proces dziejowy można wysiłkiem woli ludzkiej odwrócić—wraca więc pośpiesznie do Polski, aby tam głosić swoją ideę — i pierwszy polski posterunek graniczny „likwiduje" go razem z jego planami.

To, co dokonuje się w Europie od 1939 r.przekroczyło opisy Witkiewicza. Potwierdziło wiele z jego przewidywań, ale z jakiejś dalszej perspektywy i jego przewidywania i ich wypełnienie zbijają się w jedną bryłę czasową, a wszelkie jego poglądy mogą okazać się pod zbyt wielką sugestią z góry odgadniętego momentu. Można o nim napisać, że był tragiczny, proroczy, można go wziąć za przykład „Buriewiestnika" — ptaka czującego burzę. Można też wytknąć mu różne słabości, a przede wszystkim dekadencje, która zawsze jest łatwa do wmówienia i sobie i innym—przy czym to uświadomienie sobie własnej dekadencji z góry paraliżuje zdolność oporu człowieka, albo klasy ludzi, którzy tak na siebie patrzą. Można też zestawić Witkiewicza z inteligencją rosyjską z lat poprzedzających r.1917 i poszukać różnic albo podobieństw; to samo pokolenie, ale inny gatunek grożących klęsk. Nie będę tego próbować — utrzymuję tylko, że jest on postacią bardzo poważną i że nie mają słuszności ci, którzy zniechęcają się do niego po przeczytaniu paru nadmiernie brutalnych scen erotycznych w jego książkach. Może on sobie nie być t.zw.wybitnym pisarzem—ale wybitni pisarze zdarzają się tak rzadko, że gdyby do nich ograniczyć historię kultury, byłaby bardzo szczupła. Jeżeli tylko rozprawiało się o Brzozowskim, dlatego że łatwo było z niego wycisnąć różne miłe sercu faszystów hasła—czemuż nie mówić o Witkiewiczu. Ani jeden ani drugi nie są wielkimi pisarzami, ale kiedy się chce znaleźć choć paru ludzi w Polsce, którzy w ogóle coś myśleli— trzeba się natknąć na Brzozowskiego, który jest odrażający i na Witkiewicza, który nie jest przyjemny, choć przynajmniej nie ma zamiaru być wychowawcą narodu. Ostatecznie ruch życia zbiorowego nie zawsze ma na swoje usługi osobistości zrównoważone i klasyczne—może nawet ich brak jest ceną jaką się płaci za śmiałość i desperackość. Z olbrzymiej większości „mistrzów" powieści, wiersza czy noweli i tak nic nie zostanie, a z Witkiewicza—bynajmniej nie mistrza—da się zachować coś trwałego — co pozostaje ważne nie tylko w Warszawie czy Krakowie, ale i w Sidney i w Pensylwanii.

II.

Trwałe jest u Witkiewicza to, co stanowi w nim formę dla zdarzeń umysłowych, cechujących pierwszą połowę XX wieku. Weźmy dzieje sztuki tego okresu. Wiele można się nauczyć z opinij, jakie wypowiadał w okolicach roku 1930 np. o malarstwie i rzeźbie przeciętnie wykształcony człowiek. Gdyby zrobić rodzaj ankiety i poprosić go, aby odpowiedział na trzy chociażby pytania—wyniki byłyby mniej więcej takie jak podaję.

Pytanie: jakie okresy w historii sztuki ceni pan/i/ najwyżej?

Odpowiedź: Nie potrzebuję chyba mówić, że sztuka ludów prymitywnych może być dla nas wzorem zwięzłości i twórczej

deformacji. Ze znanych nam historycznie epok, wielką jest sztuką egipska i wczesna grecka, dopóki zachowuje wpływy egipskie i powoli się od nich wyswobadza. Później, zepsuta dążeniem do realistycznej wierności, degeneruje się. Rzeźby klasycznego okresu świadczą o upadku. Nie rozumiem dlaczego naszym przodkom tak podobała się Venus z Milo albo Dyskobol, a pomijali z lekceważeniem dzieła Grecji archaicznej albo Etrurii. Wielkim malarstwem jest włoskie malarstwo średniowieczne do Quatrocenta, po czym następuje Renesans fałszujący cele malarstwa i torujący drogę fotograficznemu niemal naturalizmowi. Sądzę, że świadomego nawrotu do istotnych celów sztuki trzeba szukać dopiero w sztuce współczesnej.

Pytanie: Czy oglądając obraz albo rzeźbę poddaje się pan (i) sugestii przedstawionego tematu?

Odpowiedź: W żadnym wypadku. Szukam jedynie doskonałości rozwiązania artystycznego. Czy tematem obrazu jest pejzaż, martwa natura, grupa ludzka czy tylko kompozycja abstrakcyjna — pozostaje dla mnie zupełnie obojętne.

Pytanie: Kogo uważa pan/i/ za patronów malarstwa współczesnego?

Odpowiedź: Impresjonistów. Oni uwolnili nas od tyranii tematu i pozwolili skupić całą uwagę na wartościach czysto malarskich. Odtąd spory o utrwalenie takich czy innych spraw ludzkich na płótnie straciły znaczenie. Każdy przedmiot jest dobry, jeżeli stanowi pretekst do dobrego artystycznie układu.

Że tak właśnie wypadłaby odpowiedź przeciętnie wykształconego człowieka, łatwo sprawdzić, czytając artykuły o sztuce i krytyki w pismach. To byłyby oczywiście najbardziej uproszczone, powszechnie dostępne wnioski. Sądy Witkiewicza były w ogólnych zarysach takie same. Kiedy w 1918 roku wystąpił z nimi /„Nowe formy w malarstwie"/ uchodził na gruncie polskim za rewolucjonistę, podobnie jak dawniej jego ojciec Stanisław Witkiewicz. Koła mieszczańskie, interesujące się sztuką nie posunęły się jeszcze w okolicach roku 1918 poza granice zakreślone przez Witkiewicza-ojca, t.zn.godziły się, że temat obrazu jest sprawą obojętną, ale żądały od malarza trafnej obserwacji i wierności w naturze. Nie przychodziło im na myśl stawiać za wzór rzeźbę murzyńską albo włoskie prymitywy, a pejzaż z krowami znajdował uznanie, jeżeli był „podobny", przy czym krowa mogła być nawet zielona, bo przecież takie oświetlenie może się zdarzyć. Oświetlenie—a więc element natury, ale stąd jeszcze daleko do programowej deformacji i do traktowania obrazu tylko jako zespołu barw i płaszczyzn. W krótkim jednak czasie, pod wpływem nowinek z Zachodu zmieniło się i w Polsce wiele.

Co da się odczytać z tej zmiany smaku i równolegle postępującej zmiany motywów oceny? Człowiek XIX wieku oburzyłby się na afrykańskie rzeźby z wywalanym ozorem i wystającym fallusem, w świątkach ludowych widziałby tylko niezdarnośc, a oglądając malarstwo włoskie wolałby Rafaela niż Cimabuego i Giotta. Nawet wcześni impresjoniści wzbudzali w nim niepokój, nie tylko dlatego że swobodnie poczynali sobie z rozkładaniem barwy przedmiotów ale i ze względu na swobodę wyboru tematu. "Śniadanie na trawie" Maneta, z gołą kobietą siedzącą wśród ubranych mężczyzn było pierwszorzędnym skandalem, którego nie umniejszało przypomnienie, że podobne grupy malował już Giorgione. Jeżeli więc obywatel pierwszej połowy XX wieku

zupełnie inaczej oceniał dzieła malarstwa i rzeźby, widocznie miał po temu nieznane dawniej powody.

Zastanawiające jest przesunięcie zainteresowania z tego, co obraz albo rzeźba przedstawia i jak przedstawia, na samą rzecz stworzoną, na sam utwór, niezależnie od jego prawzoru w naturze. Złożyłby dowód chamstwa i złego smaku, kto by pytał, czy użyte przez artystę barwy albo kształty zostały podpatrzone wiernie, albo czy szyja portretowanej osoby nie jest zbyt długa. Nie wypowiadam się narazie czy takie pytania są uzasadnione czy nie — stwierdzam fakt nowego zachowania się względem sztuki, dość znaczący.

Kiedyś Courbet walczył o prawo malowania rzeczy potocznych —ludzi w surdutach, chłopskiego pogrzebu, rzemieślników, pracy. Potem impresjoniści potrafili wzbudzić zachwyt wydobywając cuda jakie oko ludzkie widzi w oświetlonej słońcem trawie, w kwiatach, w altanach ogródka podmiejskiej kawiarni. Była w tym jednak ciągle jeszcze hierarchia tematów, którą dyktowały związki z ogólnymi dążeniami społeczeństwa t.j. u dna malarstwa było coś poza-malarskiego, co trudno sprowadzić do samej wrażliwości wzrokowej. Zdaniem naszego rozmówcy z 1930 roku, właściwie wszystko jedno co się maluje. A przecież w średniowieczu, w atmosferze egzaltacji religijnej, malowano postacie świętych nie dlatego, że święci byli lepszym pretekstem do wydobycia „napięć formalnych", przeciwnie, umiejętność techniczna wyraźnie służyła nadrzędnemu zamiarowi. Nagie ciało ludzkie odtwarzał na obrazach Renesans nie z przyczyny, że nagle zauważono jego piękno, jak się często mówi, ale ponieważ obnażenie ciała z sukien oznaczało dla artysty powrót do legendarnej Grecji i próbę odnalezienia cywilizacynej ciągłości. Wnętrza domów u Holendrów wyrażały zamiar „zobaczenia się w jestestwie swoim" zamożnego i kulturalnego mieszczaństwa Holandii. Mitoligiczne sceny Poussina tkwią w świecie literatury klasycznej. Podobnie u impresjonistów, w ich obserwacji życia ulicy, kawiarni, teatru, w notowaniu mody, w czułym badaniu francuskiego pejzażu—jest radość posiadania, tak właściwa wiekowi XIX, afirmacja postępu i jego różnorodnych możliwości.

Niemniej musi coś być z prawdy w zdaniu, że impresjoniści „uwolnili nas od tyranii tematu". Ich celem była malarska eksploatacja tego, co jest dokoła nas—stąd świeżość odczuwania, wynikająca z oporu, jaki stawiają nietknięte i nieuformowane humanistycznie rzeczy—np. nigdy dotychczas nie malowane baletnice u Degasa, czy tłum bawiący się na bal-musette. Czysto zmysłowy stosunek do rzeczywistości kryje w sobie jednak zwykle możliwość wyczerpania się i zastąpienia siły bodźców siłą wrażeń — a więc np.ta sama trawa i kobiety z parasolkami, które miały początkowo urok czegoś po raz pierwszy ujętego w historii, później stają się pretekstem do coraz przemyślniejszych środków. Gdy załamała się pozywistyczna wiara w postęp następcy impresjonistów malowali pejzaże i martwe natury, jakby nie troszcząc się wcale o nieujarzmione, nowe związki rzeczy, które dokoła powstały. W ten sposób zaznaczali; świadomie czy nieświadomie, swoją pogardę dla rozszerzenia kręgu znajomości ze zjawiskami świata co może odbyć się tylko poprzez ideę porządkującą te zjawiska intelektualne, ideę nad-malarską i nawet w ogóle nad-artystyczną, jak chociażby ideę Renesansu, czy postępowy realizm XIX wieku. Martwa natura powtarzana w niezliczonych odmianach im wystarczała, bo godzili się na to,

co jest dane i opracowane. W ślad za tym przyszły nowe teorie sztuki, dowodzące, że sens malarstwa leży w budowaniu samodzielnej formy, wolnej od jakiegokolwiek naśladownictwa. Oceniano tak wysoko malarstwo średniowieczne bo było dziwne, niesamowite, podobnie jak dziwne i niesamowite były religijne dzieła murzyńskie—zapominając że to, co brano w nich za czystą formę, powstało jako wynik wierności dla szczególnego, magicznego pojmowania natury przez ludzi ówczesnych.

Poezja też odbyła podobną drogę. Przypominam sobie książkę Johna Sparrow „Sense and poetry", /1934/. Szukając ciągłości w poezji współczesnej od Baudelaire' a aż do naszych dni, Sparrow przeprowadza tezę, że właściwa jej jest coraz dalej postępująca irracjonalizacja, czyli zanik dającego się uchwycić logicznie sensu. Język poezji jeszcze u Baudelaire' a wypowiadał pewne treści, leżące poza samym utworem, w sferze stosunków ludzkich, choć pojawiają się już pierwiastki, które, gdyby je wydzielić z całości, przestają cośkolwiek oznaczać. Innymi słowy, wiersz staje się jakby systemem planetarnym samym dla siebie, niezależnym od potocznego porozumiewania się ludzi między sobą. U Mallarmé' go nastrój wydobywany z zestawienia wyrazów zastępuje już całkowicie myślenie. Valery jak[illegible] zasadę poezji wprowadza architektonikę poematu, oderwaną [illegible] absolutną. Wszystko to dokonało się dzięki wyparciu prawideł myśli przez prawidła skojarzeń: obrazy są łączone zawsze w sposób ściśle prywatny, a klucz do nich jest zgubiony. Ktoś lubił dziewczynę w niebieskiej sukni, więc miłość kojarzy się dla niego z kolorem niebieskim, komuś innemu dom rodzinny symbolizują kasztany i nasturcje—ale czytelnik ma inne skojarzenia i choć może poddać się sugestii autora, nie odgadnie logiki następstw, odgadnie tylko poetycką konieczność. Zaszło „zarzucenie struktury logicznej na rzecz struktury psychologicznej". Sparrow nie ma zamiaru narzucać poezji obowiązków kształcenia, informowania czy wychowawczego wpływu. Zauważa tylko, że wyrzekanie się myśli zubaża poezję. W wielu wypadkach bowiem „przyjemność czytelnika polega na zdaniu sobie sprawy, że jakiś ruch albo jakaś postawa intelektu mogą być tak dokładnie a zarazem tak bogato wyrażone".

Jeśli wolno zwięźle określać zbieżności—to tak jak w malarstwie odbyło się przesunięcie uwagi z przedmiotu na umiejętność, dla której przedmiot jest tylko pretekstem—tak samo w poezji zamknięto się w prawidłach gry, obowiązujących tylko i wyłącznie w zakreślonym, kredowym kole. Nie znaczy to, aby bez prawideł gry dało się pomyśleć jakiekolwiek dzieło sztuki. Każdy obraz czy poemat stanowi świat sam w sobie — ale połączenia z szerszym, otaczającym nas światem mogą być albo bardzo mocne, albo słabe, czy wreszcie zupełnie przecięte. Baletnica Degas' a przebywa pośród innych, żywych baletnic, jest ich odmianą niepowtarzalną, ale uzasadnioną tym, że są baletnice. Portret kubistyczny nie czerpie uzasadnienia z portretowanej osoby, ale z walców i stożków, które nie są najprostszą, ale najbardziej okólną drogą do celu. Poeta skojarzeń i metafor cieszy się podróżą, t.j.procesem rozwijania się wiersza w czasie a z przybyciem do kresu okazuje się, że krążył ciągle dokoła ubogiego wątku.

Pośród licznych teoryj, powstałych w tej atmosferze, pierwsze chyba miejsce należy się pochwale „poezji czystej", jaką wygłosił ksiądz Brémond, autor „Historii uczucia religijnego we Francji".

Nie jest przypadkiem, że historyk mistyki uzyskał takie powodzenie, zabierając głos o poezji. Sztuka potrzebowała uzasadnienia dla nowej swojej postaci, a nie kierując się w stronę zjawisk zewnętrznych, mogła to uzasadnienie znaleźć tylko we wzruszeniu samego artysty, albo jego odbiorców. Zewnętrznych—chcę być dobrze zrozumiany—a więc takich, które mają wagę poza dziełem: np.opis piekła Dantego czy motyw Beatryczy są ukształtowaniem pojęć chrześcijaństwa, hymny Whittmana znajdują przedłużenie w idei postępu i w życiu rosnącej demokracji amerykańskiej a u romantyków zewnętrznymi wobec wiersza są uczucia ludzkie, które mogą być tak czy inaczej powszechne i dlatego zapewniły chleb pokoleniom profesorów.

Brémond w swojej prelekcji pod kopułą Akademii Francuskiej (1925) nawiązał na samym wstępie do przedstawicieli poezji czystej: do Edgara Poe, Baudelaire' a, Mallarmé' go i Pawła Valery. Zgodnie z pragnieniem czystości (czysta malarskość, czysta teatralność, czysta muzyczność) starał się wydzielić wszystko to, co w poezji jest drugorzędne, podległe i pozostawić, co jest jej istotą. Dawniej, w czasach wzorowania się na starożytnych autorach, wyliczano cechy, jakie powinien mieć utwór„ aby być pięknym—choć przyznawano nieraz, że są w poezji jakieś dziwy, których nie da się wytłumaczyć. Dzisiaj—powiada Brémond nie mówimy już: w tym poemacie są żywe malowidła, szlachetne myśli i uczucia, jest to i tamto, a poza tym coś, czego nie da się wypowiedzieć (ineffable), my mówimy: jest najpierw i przede wszystkim ineffable, ściśle zjednoczone z tym i tamtym. Tylko ten tajemniczy pierwiastek stanowi prawdziwe życie poezji i przyznanie mu roli, do jakiej ma prawo, uwalnia poezję od uciążliwych a obcych jej obowiązków. Dlaczego jakaś linijka wiersza wzbudza w nas wewnętrzną wibrację i stan podobny do modlitwy, a ta sama linijka, ze zmianą jednego wyrazu pozostawia nas obojętnymi, nie potrafi objaśnić najprzemyślniejsza analiza. Jest to nurt wewnętrzny, który nie da się ująć intelektualnie, myślenie przed-obrazowe i przed-pojęciowe—w innym miejscu Brémond powoła się na Bergsona. Ten nurt wewnętrzny nie ma więc nic wspólnego ani z obrazem, ani z myślą, ani z uczuciem autora, ani nawet z pięknem dźwięku—choć najbardziej zbliża się może do muzyki. Cóż więc zostaje? Nieczyste — według Brémonda — jest „wszystko, co w poemacie zajmuje albo może zająć bezpośrednio nasze czynności powierzchowne (nos activités de surface), rozum, wyobraźnię, uczciwość, wszystko, co poeta zdawał się chcieć wyrazić i naprawdę wyraził; wszystko, co nam, jak mówimy, sugeruje; wszystko, co analiza, gramatyka albo filozofia wydobywa z poematu, wszystko, co przekład zdolny jest z niego zachować. Nieczysty, jak to łatwo odgadnąć, jest przedmiot czy spis rzeczy poematu, ale również sens każdego zdania, logiczny bieg idei, postęp opowiadania, szczegół opisów i nawet wzbudzone w nas bezpośrednio emocje. Nauczać, opowiadać, malować, dawać dreszcz albo wyciskać łzy, do tego wystarczyłaby doskonale proza, której to jest naturalnym zadaniem. Nieczysta, jednym słowem, jest elokwencja, rozumiejąc przez to nie sztukę mówienia wiele tak aby nie powiedzieć nic, ale sztukę mówienia, aby coś w ogóle powiedzieć". Trudno pójść dalej. Ale Brémond wie „że poezja czysta pojawia się rzadko—jest to błyskawica przelatująca po jednej albo dwóch linijkach wiersza i nagle gasnąca. Słowa, będąc materiałem dla uzewnętrznienia tajemniczego prądu, są równocześnie przeszkodą. Doskonała poezja zmierza do milczenia, przebywa poza

granicami mowy. Jest (niedoskonałym co prawda) stanem mistycznym, obcowaniem, obecnością, jej źródla są takie same jak źródła modlitwy, co Brémond udowadniał później w swojej książce „Modlitwa i poezja".

Brémond był objawem bardzo francuskim. Jego ataki na „racjonalistyczną poetykę" są zrozumiałe w kraju, który wydał poetykę Boileau i w języku skłonnym bardziej niż inne do elokwencji i tyrad, ozdabianych figurami stylistyki. Niemniej wyraża on doskonale tendencje czasu. Dokonajmy podstawienia. Bremondowskie *ineffable* to przecież nic innego, niż Czysta Forma Witkiewicza. Nieczyste pierwiastki, apelujące do rozumu, wyobraźni, uczuciowości — to Witkiewicza „uczucia życiowe", albo naśladowanie przyrody. Mistyczny stan nawiedzenia, zbliżający poezję do modlitwy — to nienasycenie metafizyczne, wynikające z poczucia Tożsamości Faktycznej Poszczególnej. Milczenie, ku któremu zmierza doskonały i maksymalnie napięty ładunek poezji—to ostateczne nienasycenie formą, wyznaczające kres sztuki.

Odrzuciwszy różnice terminologii, widzimy że Witkiewicz i Brémond stoją na brzegu tajemnicy i że obcowanie z tajemnicą, z samym sensem czy bezsensem bytu (myślenie przed-obrazowe i przed-pojęciowe...) przezierające przez barwy, słowa, dźwięki — stanowi dla nich jedyną wartość wiersza, obrazu, rzeźby, czy utworu muzycznego. Ponieważ teorie ich obu formowały się pod wpływem ogólnych przemian artystycznych i były wyznawane z niewielkimi odchyleniami przez większość ludzi wykształconych, a szczególnie artystów, wolno stąd wyprowadzić niektóre wnioski. Można zaryzykować twierdzenie, że cały proces t.zw. wyzwalania się sztuki od przedmiotu jest ściśle złączony z obumieraniem religii, a przynajmniej pewnych jej stron, zwłaszcza strony metafizyczno-dogmatycznej. Powstaje potrzeba substytutu — można ją może częściowo wytłumaczyć przez religijne wychowanie dzieci, które dorósłszy odchodzą od religii. Zespół niezaspokojonych pragnień przenoszą na tę wysokiego gatunku działalność ludzką, jaką jest sztuka, tworząc rodzaj sekty wtajemniczonych. Widzą w niej metafizyczne źródło, wzbijające w górę różne uroki formy, przy czym są bardziej wrażliwi na rytm wewnętrzny, niż na jakiekolwiek inne właściwości. Niemal religijny stosunek do sztuki reprezentuje Proust, poza tym całkowicie odległy od religijnych zainteresowań. W jego opisach sonaty Vinteuila Brémond słusznie szukał poparcia dla swoich wywodów. Wystarczy też przypomnieć śmierć starego Bergotte'a na wystawie obrazów i żółtą plamkę, która zdaje mu się być czymś doskonałym, czymś do czego dążył na próżno przez całe życie. U nas w opowiadaniu „Młyn nad Utratą" Iwaszkiewicza konającemu recytuje ktoś wiersze po angielsku i to jest jakby zastępstwo ostatnich sakramentów. Te tendencje artystów spotkały się z dość kwaśnym przyjęciem u chrześcijan. Przenikliwy Martinain ostrzega że „sztuka nie jest chlebem anielskim" i że darmoby ktoś od niej żądał „nadsubstancjalnego pokarmu". I w istocie tak pojmowana sztuka staje się religią laików, występując jako konkurentka kostniejących wyznań.

Teorie sztuki takie jak Brémonda i Witkiewicza są ostatnim etapem długiego rozwoju, mają za sobą tradycję. W tej tradycji przeplatają się różne wątki, a nie ma powodu, żeby przekreślać różnorodność i starać się narysować „wielkie rzuty" które na pewno byłyby fałszywe. Jest to bezgraniczne pole, po którym

można wędrować spokojnie, zbierając z całej historii kultury przykłady tej szczególnej czci, jaką ludzie darzyli np.poezję, odgadując w niej odblask rzeczy niedostępnych rozumowemu poznaniu. Ponieważ jednak zwolennicy poezji czystej specjalny nacisk kładą na programowe oczyszczanie się, rozpoczęte w XIX wieku, wolno, razem z Brémondem powołać się na Edgara Poe i Baudelaire'a. Poe, w swojej rozprawie "The poetic principle" wyraźnie wyłącza poza obręb poezji prawdę i namiętności: „Objawem Zasady (poetyckiej) bywa zawsze podnoszące poruszenie Duszy (an elevating excitement of the Soul) całkowicie niezależne od tej namiętności, która jest odurzeniem Serca i od tej prawdy, która jest zadowoleniem Rozumu". Poezja, według niego, ma tylko przypadkową styczność z prawdą i obowiązkiem. Jest to „lot ćmy ku gwieździe", przeczucie chwały, która czeka nas za grobem, „boskich i gwałtownych radości". Czujemy się pod wpływem piękna skłonni do łez — a są to raczej łzy gniewnego i niecierpliwego smutku, niż zaspokojenia: tak dotyka nas poczucie, iż tu na ziemi tylko na krótko przelotnie, możemy poprzez wiersz czy muzykę zaznać prawdziwych, nieziemskich uniesień. Według Baudelaire'a przez piękno wracamy do Raju: odzyskujemy na chwilę entuzjazm, który był stanem normalnym pierwszych ludzi przed grzechem pierworodnym. I to "nienasycenie", mówiąc językiem Witkiewicza, ta tęsknota do nieosiągalnego na trwałe szczęścia sprawia, że cechą najwyższych objawów sztuki jest smutek. „Melancholia jest najbardziej usprawiedliwionym ze wszystkich poetyckich tonów" — powiada Poe.

Teraz pytanie: jak odnieść się do tego rodzaju teoryj estetycznych, jak wyrzec prostoty i jednoznaczności? Są to zjawiska zbyt nam bliskie aby można je było traktować tylko jako rozdział z dziejów kultury. Aby stały się przeszłością muszą zostać przezwyciężone pracą myśli i nowym ujęciem w praktyce. W tym nowym ujęciu nie idzie bynajmniej o to, aby negować i przekreślać wszelkie metafizyczne ujmowanie piękna. Zbyt wiele cennych dzieł z takiej wiary wynikło i zbyt uparcie powraca w historii sztuki ten motyw. Można tylko powiedzieć w przenośni, że jeżeli przez piękno chce ktoś powrócić do raju, to winien pamiętać, iż u bram raju stoi anioł z ognistym mieczem. Wyrażając się dokładniej — czystość zupełna unicestwia ludzką działalność, bo coraz mniej spraw ludzkich nas wtedy interesuje, aż wreszcie dochodzimy do zapatrzenia w gwóźdź na ścianie, albo w spodnie w kratkę, jak bohaterzy Witkiewicza po dużej dawce kokainy. Wtedy sztuka się kończy, pozostaje tylko milcząca kontemplacja, bo taka jest cena wejścia na tereny zabronione. Jest coś żenującego, niemal nieprzyzwoitego (Witkiewicz rzekłby: „zdegenerowanego") w świadomie zamierzonych produktach sztuki czystej. Rażą nas one, choć mogą być piękne, ponieważ ich piękność nie jest mimowolna, powstająca ubocznie jako wynik pogoni za bardziej ogólnym celem, ale postawiona od początku jako cel jedyny. Coś podobnego, jak z opowiadaczem anegdoty, który sam śmiałby się, uprzedzając reakcję słuchaczy. Podoba się nam obraz Degas'a, bo dąży ku tancerce, ku analizie jej ruchu. Dante dąży ku Niebu przez Piekło i Czyściec, malarz średniowieczny ku wizji ascetycznej świętości, Mickiewicz ku sielankowej wsi litewskiej. Źle robi współczesny człowiek, jeżeli nie mogąc wierzyć razem z Dantem, dopatruje się w opisach jego podróży jakiegoś piękna oderwanego od ówczesnych pojęć i twierdzi, że wierzenia ówczesne były dla Dantego tylko prtekstem. Źle też robi, jeżeli

Z WYSTAWY OBRAZÓW MARKA ŻUŁAWSKIEGO W LONDYNIE





straciwszy zdobywczość wobec materii, tak właściwą wiekowi XIX-mu widzi u Degas'a tylko harmonijne barwy i rysunek, a w spazmatycznych miotaniach się Rimbaud'a olśniewający potok słowa. Stawka jaką rozgrywają artyści jest zwykle większa, niż się to wydaje potomnym bo walkę przesłaniają później t.zw.zdobycze formalne. Następstwem formalnego odniesienia się do przeszłości, jest zwiększona zdolność delektacji. Dawne dzieła wyrwane z ich więzi cywilizacyjnej, postawione wobec jednego miernika, tworzą olbrzymią galerię, w której wszystko ma swoje miejsce. Można wtedy układać z powodzeniem historię techniki artystycznej ustawiając obok siebie świątka ludowego i rzeźbę Maillol'a, ale odbije się to ujemnie na nowej twórczości, żyjącej zawsze walką, a nie delektacją.

Jeżeli przeciwstawiam się temu pierwiastkowi, który Brémond nazwał ineffable to tylko pozornie. W istocie krytykuję czystą formę przez miłość do niej, bo wolno, tęskniąc do raju, zabronić sobie powrotu gdy ten powrót byłby tylko skażeniem. Niebezpieczeństwo tkwi w programowym uznaniu Czystej Formy za rdzeń sztuki. Dziwne, że Witkiewicz, który powiadał iż „pragmatyzm był zawsze, ale nie był nigdy programowym" i że w programowości pewnych idei jest przekleństwo naszych czasów nie zdobył się no proste stwierdzenie, że tak samo Czysta Forma istniała zawsze, ale nie była programowa i że kiedy zmierza się do niej programowo, zadaje się jej ranę nieuleczalną. W kulturze bywają mechanizmy tak delikatne, że kiedy wskaże się je palcem, zmieniają się natychmiast w coś innego, przez samo zwrócenie w tę stronę nadmiernie natężonej uwagi.

d.c.n.

KAROL ESTREICHER

ZMIANY

IV.

W dwóch rezerwowanych od Warszawy wagonach jechało dwustu uczestników wycieczki-pielgrzymki, którą zorganizował ks.Matusik. Koszta podróży były tak niskie a obietnice tak nęcące, że nie tylko członkowie Przyszłości i Pługa wzięli udział w wyprawie, ale także osoby, które z organizacjami młodzieży miały luźny związek. Kilka matek i ciotek, dwóch narzeczonych, grono pracowników kooperatywnych, którzy by nie mieli sposobności zobaczyć świata zabrali się z wycieczką. Dużo było zabiegów i protekcji, by dostać się na listę księdza Matusika. Ci, którym się to udało wynosili go pod niebiosy, ci zaś co spadli z listy wyrażali się o nim z przekąsem. Przygotowania do wycieczki nie odbyły się bez intryg, zawiści, obraz. Przysłano księdzu anonim wymierzony przeciwko uczestnikom i uczestniczkom podejrzanym o wzajemne romanse. Ksiądz anonim przeczytał i rzucił do kosza żałując tylko że znakomita pamięć nie pozwoliła mu zapomnieć podanych tam nazwisk.

Jechano trzecią klasą kupą, z walizkami wypchanymi zapasami i po jednodniowym obejrzeniu Wiednia i Florencji miano wyładować się w Rzymie. Ksiądz podzielił wycieczkę na trzy kompanie, zamianował szefów i codziennie omawiał z nimi przebieg dnia i program podróży.

Zziajani, zmęczeni po dwóch dniach podróży wysiedli we Florencji i przebiegli ją od szóstej rano do dziesiątej wieczór. Widzieli i katedrę Uffizia i palazzo Medici i Bargello, zagryzali polską kiełbasę lodami włoskimi i zapijali winem, a gdy wieczorem zziajani wrócili do wagonów nie wiedzieli gdzie byli i nie pamiętali niczego, prócz zmęczenia, zmęczenia. Jedna z uczestniczek zemdlała w muzeum, a przed samym odejściem pociągu trzeba było odwieźć do szpitala uczestnika, który nagle dostał ataku ślepej kiszki. Szczęściem że mieli słuchaczy medycyny między sobą, którzy wypadek jako bardzo groźny natychmiast rozpoznali.

Kłócili się, zawiązały się kółka i kółeczka, flirty, koterie, dyskusje jak zawsze w tego rodzaju gromadach ludzkich. Ale byli szczęśliwi mimo przygód, mimo niedogodności, mimo bardzo szczupłych funduszów. Kupowali pamiątki, przedmioty zbytku, próbowali mówić po włosku i nie bez sukcesu pomagali sobie łaciną, francuszczyzną a przede wszystkim gestami.

Głównym kierownikiem wycieczki, zastępcą księdza Matusika był Pieczarski. Jechał za darmo, a za to podjął się dopomagać mu we wszystkim i pilnować porządku organizacyjnego. Koledzy przezwali go „owczarkiem" bo jak pies pilnował trzody by się nie rozbiegła, by nikt się nie odrywał, nie zostawał w tyle, nie spóźnał. Lubiał i umiał rządzić i nie pozwalał na żadne szlacheckie indywidualizmy, jak mówił. Dzięki jego pracowitości wszystko szło składnie, tak składnie, że nie tylko wypełniano program ale jeszcze czas wolny obracano na dodatkowe zwiedzania. Tak było w Wiedniu i we Florencji, gdzie Pieczarski gonił ich z miejsca na miejsce wynająwszy na cały dzień przewodnika.

Brał także udział w wycieczce Halvert, który asystował wszystkim przystojnym koleżankom a i we Wiedniu i Florencji zdążył nawiązać interesujące znajomości z tamtejszymi pięknościami na Kärtnerstrasse i Corso Umberto. Miał stanowczo za dużo pieniędzy jak to stwierdził ksiądz Matusik, obserwując wszystkich bacznie. Ksiadz jechal trzecią klasą wraz z nieodstępującą go Danielską, której zadaniem było opiekować się koleżankami i paniami oraz pomóc księdzu w rachunkach.

Pułkownik Wolański wraz z żoną jechali w sypialnym wozie. Ksiądz spotykał się z nimi w wagonie restauracyjnym gdzie pułkownik i ksiądz dyskutowali swoje sprawy przy milczącej Jance. Omawiali raz jeszcze przygotowania do wystąpienia w Rzymie, hołdy, przyjęcia i nawiązanie kontaktów które trzeba tam będzie wypełniać. Pułkownik jechał w nieoficjalnym charakterze, ale mimo to obiecano go zapoznać z całą organizacją młodej i zwycięskiej Italii, wprowadzić we wszystko to co sprawiało że Italia wysunęła się no czoło europejskich narodów, ponad zdegenerowaną Francję i starczą, słabowitą Anglię.

Tak rozmawiali, głównie o polityce, a Janka żałowała że dała się namówić na tę podróż. Nie rozumiała dlaczego przyłączyła się do wycieczki, jak stało się to że zrezygnowała z postanowienia by trzymać się jak najdalej od Władzia. Skusiły ją perspektywy zobaczenia Włoch. Wyobrażała sobie, że tylko dla ułatwień paszportowych będzie się nazywać że pojadą z wycieczką. Tak mąż przedstawiał wszystko w listach.

Podróż przybrała bieg odmienny, gromadny, denerwujący, krzykliwy i dzień spędzony we Florencji napełnił ja niesmakiem i dużo dałaby żeby móc się od wycieczki odłączyć. Irytacje jej powiększał Pieczarski, który ciągle się do niej zwracał i nie-

proszony opiekował się nią. Jego opryszczona twarz, małe oczy niespokojnie biegające, spocone ręce napawały ją wstrętem. A tymczasem Władzio bardzo był łaskaw dla niego i ciągle z nim dyskutował doradzając mu jak organizować sprężyście i energicznie, trzymając wszystkich w dyscyplinie.

— Dyscyplina musi być wszędzie nie tylko w wojsku. Narody niezdyscyplinowane giną, bo tracą instynkt dynamizmu — stwierdził pułkownik.

— Widzimy tego przykłady wszędzie, a bardziej niż gdziekolwiek widzimy to w Italii. Smutne ruiny antycznego świata zostały po starożytnych Rzymianach na ostrzeżenie ich następcom. Gdy cnota staro-rzymska zaginęła, zginęło także imperium — podkreślał ksiądz Matusik.

— A dziś wschodzi słońce Italii na nowo — dodał pułkownik.

— Naród jest zjednoczony wokół jednej idei.

Pieczarski miał zawsze swoje wątpliwości;

— Czy jednak lud włoski nie jest tyranizowany? Pułkownik reagował żywo:

— Nie jest tyranizowany, tylko ujęty został w formy organizacyjne. Maszeruje zgodnie za swym wodzem, maszeruje do zwycięstwa! Możemy z tego brać przykład. Co dzieje się u nas? Rozbicie społeczeństwa, kliki partyjne, spory i intrygi panów posłów.

Pułkownik zapalił się. Dowodził jak to w Polsce należy ująć za mordę tych wszystkich politykierów, co żerują na kraju, a ksiądz słuchał.

Janka spostrzegła wielką zmianę w mężu. Władzio dawniej nie był tak wygadany, nie znał się na stronnictwach, na programach partyjnych. Obecnie powtarzał poglądy i twierdzenia, które wiedziała że nie są jego. Wierzył we wszystko co mówił że sam to wymyślił. Zrobił się zarozumiały. W ciągu ostatniego roku hołdy jakie otrzymywał i odznaczenia jakie mu nadano, stanowczo przewróciły mu w głowie. Dawniej miał poglądy niezbyt ustalone, lubił zabawę, był weselszy, lekkomyślniejszy. Teraz zaczął pozować i wydawał sądy o ludziach. Szczególnie nie znosił ludzi z wykształceniem. Zawsze starał się ich obśmiać, wyszukać w nich głupstwo. W rozmowach zrobił się złośliwie arbitralny. Cóż cię tam ci twoi profesorowie nauczyli na tym twoim uniwersytecie? — pytał Jankę przy ludziach — lub: ja tam żadnych szkół nie skończyłem a jakoś wyszedłem na ludzi, albo: z żony mi robią uczoną w Krakowie, ale z uczonej nie zrobią żony — i uważał że jest dowcipny.

Sam nie umiał wypowiedzieć jasno żadnej myśli choć dowodził okrągło i płynnie. Ale tak zamącał w dyskusjach sprawę, że gubił myśli które miały być rzekomo nowe, przebudowujące świat. Janka porównując go z ludźmi, których spotkała ostatnio, z ksiażkami które czytała, z wykładami jakie wchłonęla, dochodziła do bardzo ujemnych wniosków.

On czuł u niej te opory, bo nigdy z nim nie dyskutowała, ograniczając się do zdawkowych twierdzeń w rodzaju być może, zapewne, nie wiem, nie znam się na tym. Parę razy odburknął jej na szczęście nie przy innych, bo wiedział że tegoby nie zniosła.

Traktowała go surowo. Nudził ją. Po raz dziesiąty słyszała jak powtarzał te same anegdoty lub używał zwrotów których dobrze nie rozumiał. Janka znała na pamięć ten repertuar i niecierpliwiła się gdy zaczynał gadać. Wiedziała że zacznie wykładać o zdolnościach wojskowych Polaków które są najwy-

ższe na świecie i znała doskonale zwrot którym kończył swe twierdzenie: i proszę mi wierzyć że znam się na tym. Kryło się za tym samochwalstwo.

— Podniesienie narodu i społeczeństwa, socjalne i ekonomiczne i kulturalne może nastąpic tylko wtedy, gdy będzie ono odpowiednio zorganizowane. Tak czy nie? Można tę całą kwestię podzielić na punkty a, b, c, d, itd. Rozbiegają się one w kilkanaście różnych kierunków, odśrodkowych że tak powiem, ale wychodzą z jednego centrum. Tym centrum musi być ponadegoistyczna władza tych którzy znają się na niej. A znają się na niej ci którzy umieją o tę władzę walczyć, co umieli w ogóle walczyć, którzy wykazali że nie stoją ani w punkcie a, b czy c, ale którzy na te punkty wpłynęli od środka. Dziś muszą mieć głos. Tak czy nie?

— Dawno Kościół to przewidział i tak się zorganizował i jeżeli teraz młoda i dynamiczna Italia idzie po tej drodze, to dzięki mądrości odziedziczonej od Kościoła — przytakiwał ksiądz Matusik.

— Cała nasza filozofia narodowa w tym właśnie idzie kierunku i wytyczne działania na tym trzeba oprzeć a nie na żadnych prawnych formułkach. Skończyły się czasy mrzonek i ideałów, a przed nami stoi zwarty prąd żądający wyścigu i hartu, do którego jest potrzebny najwyższy wysiłek i wiara. Tak czy nie?

Co pod tym wszystkim rozumiał pułkownik trudno było wiedzieć. Ale księdzu się to podobało, zwłaszcza, że wspomniał o wierze.

— W moje stare serce wstępuje otucha gdy słyszę ludzi tak pięknie mówiących jak pan. Wiem że Bóg nas nie opuści.

„Tak czy nie?" — brzmiało w uszach Janki gdy chciała powiedzieć „nie", krzyczeć to „nie", bo tak była zirytowana i podniecona. Nie odezwała się. Siedziała i patrzyła na nich, zachowując rezerwę. Wiedziała że mąż obczytał się właśnie jakimś artykułem Skwarczyńskiego i że powtarzał myśli stamtąd zaczerpnięte. Nie rozumiała tego co głosił Skwarczyński i przypisywała to swojej niewiedzy i niewykształceniu. Równocześnie wiedziała że także Władzio nie rozumiał owych dowodzeń i dziwiła się że ma odwagę poglądy stamtąd cytować i co gorzej cytować je tak jakby je rozumiał.

Nie mogła odżałować że dała się namówić na tę podróż zwłaszcza że ani chwili mąż nie zostawiał jej swobody, ciągle prosząc aby przebywała w jego towarzystwie. A tymczasem jechali przez ziemie włoskie, przez równiny i góry półwyspu pod niebem lazurowym. Mijali miasta i wsie malownicze, wśród gajów i winnic uczepione do skał, jeziora błyszczące i brzegi mórz. Wszystko w słońcu, w pogodzie, w pięknie zanurzone. Poezja krajobrazu i ludzi nudziła pułkownika, który niczym się nie zachwycał, wszystko lepiej wiedział i porównywał ciągle z Polską, wskazując o ile to w Polsce lepiej i mądrzej urządzone.

— Góry u nich są łyse. Lasów, lasów nie mają. Polują na słowiki bo nawet zajęcy brak. Wszędzie same ogrody, a gdzież pola uprawne jak u nas. Niebo jak lustro lub reflektor aż oczy bolą. Drzewa sztywne, a te wszystkie cyprysy przypominają mi cmentarz na Powązkach. Natura jest tu ufryzowana. Tu właściwie nie ma natury tylko pomniki, marmury i ruiny pod gołym niebem. Pokaż mi tu step wołyński, pokaż perspektywę naszych pól ciągle odmienną. Tu słońce praży i praży, aż ziemię do białych kamieni wypaliło.

I ksiądz Mutusik znowu mu przytakiwał w jego sądach dostrzegając miłość ziemi rodzinnej i znowu Janka zamilkła.

W Rzymie zaczęły się uroczystości, przyjęcia i bankietowania. Wycieczka-pielgrzymka oprowadzana przez ciceronów z urzędu propagandy składała wieńce, zapewnienia przyjaźni. Miała zaszczyt wysłuchać mszy świętej w kaplicy sykstyńskiej przez samego ojca świętego odprawionej, a potem być przyjęta przez niego na specjalnej audiencji. Papież po polsku powiedział „niech będzie pochwalony".

Janka chciała zwiedzać, ale sama. Chciała mieć czas na rozkoszowanie się drogą Appijską lub ruinami Forum, a tymczasem była ciągle pędzona i poganiana. Zaprzyjaźnila się z jedną uczestniczką wycieczki starą panną, nauczycielką, która podobnie jak ona była zmęczona programem i obie pod byle pretekstem odłączały się od wycieczki zwiedzając na własną rękę.

W mundurze błyszczącym srebrem wyszywań i odznak, z orderami na piersiach, imponując postawą wszedł do pokoju Janki. Jego ciemne oczy rozwarły się szeroko ze zdumienia, że jeszcze nie była ubrana. Ale opanował gniew, a kosztowało go to dużo. Suchym głosem odezwał się:

— Nie możesz dzisiaj wieczór nigdzie uciekać, bo jest przyjęcie na które musimy zaraz iść. Najwyższe czynniki polityczne Włoch będą tam obecne, a zdaje się nawet sam Duce.

— Nie pójdę, czuję się chora.

— Nieprawda, nie jesteś chora tylko umówiłaś się z tą starą nauczycielką że pójdziecie do Coloseum. Myśmy tu nie przyjechali na romantyzmy.

— Władziu, proszę cię wyjdź z mego pokoju. Wiesz że nie pójdę. Możesz mnie tłumaczyć jak chcesz.

Miała wszystkiego dość. Niesmak jej rósł z każdym dniem, w miarę gdy coraz bardziej była zmuszana przez męża do brania udziału w jego ambicjach i życiu. Zwłaszcza że znowu na nią zwrócił uwagę, że parokrotnie próbował zbliżyć się do niej, na co nie mogła pozwolić.

Nie znosiła go. Nie mogła go znieść. Nie myślała mu w niczym pomóc, w niczym podeprzeć jego ambicji. Może w innych warunkach byłaby poszła na ów raut, bo wreszcie i ona była ciekawa zobaczyć dyktatora Włoch, ale teraz postanowiła zrobić mężowi na złość. Zaszkodzić mu, zemścić się na nim tak, żeby on nabrał do niej wstrętu, żeby się od niej odczepił.

Wyszedł. Trzasnął drzwiami, coś brutalnego powiedział, ale Janka nie słyszała tak była zadowolona, że pozbyła się go. Bała się awantury, której jednak nie zrobił, a wiedziała że nie zrobił bo chciał uniknąć skandalu.

Czuła podświadomie, że skandalu nie uniknie. Już wczoraj gdy wrócili z uroczystego przyjęcia w Związku Kombatantów chciał zajść do niej ale szczęśliwie zdążyła się zatrzasnąć. Bała się go nie tyle sama, co przy ludziach. Gdy byli sami mogła go traktować niegrzecznie, wyrzucić z pokoju, pozbyć się go milczeniem. Za to przy ludziach zbliżał się do niej, brał ją pod ramię, uśmiechał i dla utrzymania pozorów zgadzała się na to. Tym bardziej go później nienawidziła za te komedie.

I ten ksiądz przy nim. Milczący, stanowczy, ze stalowymi oczami wpatrującymi się w Jankę i czytającymi wszystko co rozgrywało się w jej duszy. Janka miała wrażenie, że ksiądz Matusik znacznie więcej wie o niej niż Władzio. Paraliżował ją swoją uprzejmością a zarazem stanowczością. Bała się jego

wpływu bo zauważyła że argumenty, ktore on przytacza są niezwykle trudne do odparcia. Pod jego wpływem Władzio się zmienił. To on zdziałał, że tak gorąco mąż zaprosił ją na wycieczkę. To on sprawił, że Władzio porzucił tę aktorkę, bo zaszkodziłby mu rozwód. On, czuła to podświadomie wiązał ich małżeństwo, zakuwał ją w pęta.

Perspektywa że jutro znowu powtórzy się natarczywość męża, że jeszcze dziś w nocy podniecony przyjęciem i wypitym winem będzie może dobijał się do jej pokoju, napełniała ją wstrętem, w którym bylo dużo przesady i imaginacji. Odwykła od zależności. Działać postanowiła bezwzględnie, z bezwzględnością kobiety, widzącej w kiedyś ukochanym mężczyźnie człowieka całkowicie obcego.

Ucieknie od niego — myślała. Ucieknie natychmiast stąd, z Rzymu i zaszyje się gdzieś jak zwierzę spłoszone i przeczeka co będzie. Potem wróci do siebie, do Krakowa, do studiów. Ma wystarczającą sumę, by przez parę miesięcy podróżować. Zresztą sprzeda pierścionki, broszkę po matce i bransoletkę. Ma także niezależne od męża papiery osobiste i paszport.

Władzio wyszedł na owo przyjęcie i miała co najmniej dwie godziny czasu. Zapakowała się szybko, zbiegła na dół i umyślnie pytała o pociągi do Wenecji i Wiednia, by wywołać wrażenie że wraca do Polski. W rzeczywistości na dworcu postanowiła się zorientować dokąd pojedzie.

Potem siadła i na hotelowym arkuszu napisała list do niego. Skreśliła go szybko:

— „Wyjechałam i nie licz na mój powrót. Daruj mi że cię rzucam i że mego życia nie wiąże z twoim. Jesteś wolny i zwróć wolność mnie. W każdym razie nie licz, byśmy się zeszli. Nigdy. Żegnaj. Janka. P.S. W twoim pokoju przy łóżku zostawiłam wszystkie klejnoty które mi darowałeś. Zachowałam tylko moje, po mamie. Nie gniewaj się ale tak jest lepiej".

Zalepiła kopertę zaadresowała ją i szybko, jakby bojąc się że może zdecydować inaczej oddała ją portierowi. A potem kazała znieść walizki i neseser, zapłaciła za pokój i pojechała na dworzec.

Wsiadła do pierwszego dalekobieżnego pociągu, który właśnie miał odejść. Nie wiedziała gdzie jedzie, bo bilet kolejowy załatwił jej usłużny bagażowy, któremu coś nerwowo tłumaczyła wpychając obfity napiwek.

Wiał silny wicher i deszcz lał strumieniami gdy opuszczała Rzym. Wyczerpana decyzją siadła w sypialnym przedziale i patrzyła bezmyślnie na znikające światła Wiecznego Miasta. Była wolna, wolna nareszcie. Już teraz nic nie mogło wstrzymać jej decyzji, już teraz nigdy, nigdy nie wróci do niego.

A tymczasem Wolański jakby instynktem posiadania wiedziony, niespokojnie kręcił się na raucie tłumacząc że musi wcześniej wyjść, bo żona jego jest słaba. Dostąpił zaszczytu rozmowy i z następcą tronu i z samym Wodzem. Mówił za niego ksiądz Matusik sławiąc czyny Wolańskiego jako prawdziwie chrześcijańskiego rycerza. Pytano go o szczegóły słynnej wyprawy do Połocka, zwłaszcza że w osobie starego księdza Oboleńskiego był naoczny świadek jego bohaterskiego czynu. Wielki Mistrz Kawalerów Maltańskich oraz kardynał Raspignoli łaskawie odnosili się do niego, a hrabina Odescalchi zaprosiła go do swego pałacu na śniadanie razem ze sekretarzem partii faszystowskiej. Ksiądz Matusik w rogu salonu zacierał z zadowolenia ręce. Obok niego stał jezuita ojciec Walery

Janowski jeden z najświatlejszych i najmądrzejszych członków rzymskiego Kolegium. Jego sucha starcza twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

Wolański wyrwał się jednak z tego towarzystwa, które wciągało go swoją mocą. Wyszedł z Palazzo Venezia na deszcz i wkrótce znalazł się w hotelu. Tam wraz z kluczami podano mu list.

Zbladł. Wbiegł na górę do jej pokoju i sprawdził że jest pusty, że nie ma jej rzeczy tylko wstążka zapomniana na ziemi i mocny zapach jej perfum. Podniósł ową wstążkę i mechanicznie schował ją do kieszeni. Poszedł do swego pokoju i spostrzegł paczkę leżącą koło łóżka.

Przebiegł przez niego śmiertelny dreszcz. Jeszcze nie mógł uwierzyć w to co się stało. Na czole jego blizna, którą ona kiedyś tak starannie bandażowała, którą całowała później w przystępie miłości, stała się purpurowa, pęczniała aż zaczęła go boleć, piec.

Zszedł na dół do baru i kazał sobie podać butelkę koniaku. Pił go ze szklanki dużymi łykami i powoli wróciła mu przytomność. Nagle poczuł na ramieniu czyjąś ciężką dłoń i zobaczył księdza Matusika.

— Przyszedłem dowiedzieć się jak ma się pani pułkownikowa?

Wolański nie słyszał pytania. Ale uczuł wielką ulgę że ktoś jest przy nim i bez słowa podał księdzu list.

Milczeli. Długą chwilę przy nim stał ksiądz, a potem gdy pułkownik pytał za co, za co to wszystko, ksiądz wznosząc oczy ku niebu powiedział:

— Mój synu, Bóg doświadcza tych, których wybrał.

— Księże kochałem ją bezmiernie, jak nikogo w życiu. To ona, ona jest winna wszystkiemu. Rzuca mnie, łamie mi życie.

— Przede wszystkim działać trzeba ostrożnie, czy w hotelu nie wiadomo dokąd pojechała?

— Do Wenecji, do Wiednia, pewno wraca do kraju.

— A więc rychło ją pułkownik zobaczy i może wtedy zechce wrócić. Może to tylko nerwy?

— Ksiądz prałat mojej żony nie zna. Przecie napisała „nigdy".

— To słowo nie istnieje dla kobiet. Zechce wrócić gdy stanowisko pana będzie takie jak pragniemy tego wszyscy. Gdy ludzie zaczną o panu mówić, liczyć się z panem. W tym kierunku trzeba działać.

I za poradą księdza uchwalono rozpuścić wiadomość, że pani pułkownikowa otrzymawszy wiadomość z kraju o chorobie kogoś z jej bliskich musiała nagle wyjechać. Wolański wstał. Nie czuł wypitej butelki koniaku gdy żegnał się z księdzem. Dlatego zażądał drugiej do swego pokoju.

Drobnym krokiem, w deszcz mimo późnej godziny podążył ksiądz Matusik na dworzec. I tam od bagażowych dowiedział się że właśnie przed godziną pani taka sama jak ją opisywał, wyjechała na Sycylię.

Ksiądz Matusik postanowił tę wiadomość zachować dla siebie.

d.c.n.

ROMAN BRATNY

POEMAT ZZA KIEROWNICY

Z kwiatów mrozu na szybach wyciskali olejek
tym karmili jenców miliony w barakach.
Potem widziałem: krew się z kwiatów leje
i o szyby uderza pięść wolna, żołdacka.

Teraz z pokładów węgla uwolnione paprocie
białym cieniem się kładą na szoferskie szyby
— tak pachnie tytoń latem — kwiaty mrozu pociąć
i faję nimi nabić — mróz dymi soczysty.

Teraz mknie na rumaku, przed szybą feudalny, dorożkarz
— na pierwszym biegu można go kołem kierownicy trzy razy
[owinąć...
Fordem, nie na osiołku, jechałaby Matka Boska
gdyby (w sprawach bawełny) mknęła w dal egipską.

Dla Ciebie, Ojczyzno, tylko Tobą pijany
zwariowałem, już dawniej, w Paryżu boskim:
gdym już wiedział, że dom mój ma jedyną ścianę
trzy brakujące chciałem nadać pocztą.

Kochana! Czemuś nie przyszła kiedy tam czekałem?
Odwiózłbym Cię Fordem na beczce śledzi,
albo poprostu, jak furą, Versaill'em
w tęsknotę bystrą zaprzągniętym.

Ojczyzno! Nie przyszłaś, więc wróciłem i prowadzę auto.
Transport słaby, więc biegi grają gdy za szybą siedzę.
Wciąż za wolno! Fordami będziem latać jak Żwirko i Czkałow.
Na jednym śledziu Polska nad Bałtykiem nie usiedzi!

O! woziłem węgiel, śledzie, bawełnę,
— rękawic transport wiozłem:
w rękawice górnik wkłada nie dwie dłonie
a tonn 10 tymi dłońmi dobytego węgla.

Potem papieru bele wiozłem
— napisałem poemat „Rękawiczka"
210 kilometrów długi, bo Łódź — Katowice.
Potem los mnie już z książkami dalej wysłał.

Dowiozłem. Mówił apostoł Kałużyński w łodzi
nad wzburzonymi bałwanami unosząc twarz:
„Literatury nie ma". — „nie szkodzi.
Przemysł uspołeczniony — powiedziałem — masz."

To było w mieście Łodzi oczywiście
— gdzie ja bym inną łodzią po toni lazurowej płynął?
— to dobre tylko dla fabrycznych dymów,
którym kominy powiadają: wiśta!!

A brak literatury? — pisać podanie
niech Ministerstwo Propagandy i Informacji
spodnie z sonetów szyje gazeciarzom
a zaraz będzie lepiej i inaczej.

Przecież wiatrówka z Dantego metafizycznych wierszy
osłonić może gardło przy krzykach:
— „Wielki poemat Mikołajczyka!
Przemawiał Towarzysz. Wiesław!!!"

Każdą liryczną łzę wydrążyć w pudło skrzypiec
a potem instalować w nim wiertarki
— niechaj wygrają pieśni olbrzymie,
przemysłowe sonaty.

Ukochana! Twoje oczy lazurowe
już umiały 1,000 pieców hutniczych obłaskawić.
Ukochana! Ojczyzno! Daj na odbudowę
choć powietrza i wody. Z resztą damy radę

MANFRED LACHS

PRAWNE GWARANCJE PRAW CZŁOWIEKA

I.

a. Prądy polityczne i doktryny prawnicze rozmaicie reagowały na wołania o pisane prawo dla czlowieka (ut supra). Ilekroć epoka była smutna, pełna wstrząsów i rozczarowań, tylekroć odzywał się głos wołający o te prawa. Normalne warunki życia XIX stulecia ustąpiły wkrótce miejsca gwałtownym przemianom XX wieku i wślad za nimi znowu przyszła potrzeba ustanowienia praw i szukania sprawiedliwości.

b. Faszyzm i hitleryzm były w istocie swej najgwałtowniejszym w historii atakiem na człowieka i jego prawa. Dowiódł on, że formalistyczne podejście do prawa, że uznanie za prawo wszystkiego, co ma szatę prawną doprowadza do absurdu. Bo przecież „legalizował" w swoisty sposób mordy, barbarzyństwa i zbrodnie najniższego gatunku. Uczynił jasnym, że wyłącznie „normatywne" podejście do prawa jest zgubne.

Totalizm pozbawił człowieka jego praw, ale atak jego był też atakiem totalnym, bo niezwiązanym z czynem człowieka, zawinionym czy niezawinionym, działaniem czy zaniechaniem. Atak skierowany był przeciw człowiekowi, jako istocie żyjącej: bez względu na to czy to był człowiek dorosły czy dziecko. Totalizm negując istotę praw człowieka praw najelmentarniejszych, zagadnienie gwarancji praw tych uczynił zagadnieniem znacznie szerszym. Bo przestało to być tylko kwestią bezprawnego aresztu bez nakazu aresztowania, podejrzenia niepopartego dowodami, braku wolności słowa czy myśli — a stało się zagadnieniem bytu, istnienia człowieka.

Wniosek z tego logiczny: skoro możliwe jest tak daleko idące pogwałcenie praw człowieka, jak totalny atak na elementarne prawa ludzkie stworzone być muszą gwarancje chroniące człowieka w zakresie znacznie szerszym i znacznie skuteczniejszym.

Nie ma zatem wątpliwości co do potrzeby gwarancji praw ludzkich a chodzi tylko o sposób gwarancji i zakres praw gwarancji podpadających.

2. KTO MA BYĆ GWARANTEM PRAW CZŁOWIEKA?

Historia ostatnich lat wykazała, jak łatwo te najświętsze i podstawowe prawa ustroju państwowego: konstytucje ulegają zmianom, jak łatwa jest droga do dyktatury i ucisku. Bez trudności państwa osi przekreśliły wszelkie gwarancje zawarte w konstytucjach. W przeszłości gwarancje te w znakomitej większości opierały się na przepisach konstytucyjnych zawartych czy to w tekście aktów konstytucyjnych czy też w uroczystej preambuli. Jeszcze dziś, mimo załamania się głównych filarów faszyzmu i hitleryzmu trwają systemy polityczne, które gwarancje praw człowieka zupełnie lekceważą: Hiszpania i pewne państwa Ameryki łacińskiej.

Wniosek stąd jasny: gwarancję praw człowieka oprzeć należy na platformie społeczności międzynarodowej. Doprowadzić należy do logicznej konkluzji doświadczenia przeszłości, rozszerzyć te fragmentaryczne gwarancje jakie zawarte były czy to w postanowieniach mandatowych czy traktatach mniejszościowych. „Demokracja — powiada Lauterpacht — jakkolwiek jest elementarnym warunkiem wolności, nie jest bezwzględną jej gwarancją”.[1] I wywodzi on dalej: „... państwo narodowe, bez względu na to czy ono jest permanentną formą organizacji politycznej człowieka czy nią nie jest, nie jest celem w sobie, a tylko powiernikiem dobrobytu człowieka i tych ostatecznych celów, którym on służy.”

W ten sposób uzasadnia on potrzebę międzynarodowej gwarancji praw człowieka. Można te argumenty Lauterpachta prowadzić dalej i uzasadnić szerzej na płaszczyźnie prawa. Jeśli wierzymy w wartość organizacji międzynarodowej i współpracę wszystkich państw w pewnym systemie opartym o prawo narodów czy prawo międzynarodowe — jednym sposobem gwarancji jest międzynarodowe zobowiązanie.

Do niedawna jeszcze szereg teortyków prawa widziało szczyt systemu prawnego na szczeblu państwowym, wychodząc z założenia, że nic nie stoi ponad nakazem państwa.

Trzymali się oni kurczowo pojęcia suwerenności, jak je pojął Bartolus (potestates quae superiorem non cognoscunt) czy Bodin (summa potestas). Ale nawet dziś znajdujemy takich, którzy przyznają się do dogmatu o bezwzględnej suwerenności państwa, idei państwa wyzwolonego z wszelkich więzów (Hegel) — jako qualité suprême.

Rzecz oczywista, że takie ubóstwienie państwa, nadanie mu mocy i władzy nieograniczonej jest krokiem wstecz, jest wykoszlawieniem prawa międzynarodowego i prawie bytu jego negacją, jest smutnym dziedzictwem faszyzmu i hitleryzmu. Państwo stojące na najwyższym szczeblu w hierarchii prawnej może nie tylko czuwać nad przestrzeganiem prawa ale właśnie najczęściej łamie jego normy. Ostatnie lata były najlepszym tego świadectwem. Z drugiej strony byli dualiści, którzy uznawali równoległe istnienie prawa wewnętrznego i prawa narodów.

Już poza szeregiem trudności natury teoretycznej, jak wyjaśnienie „koegzystencji” dwóch niezależnych od siebie systemów prawnych, sprawy legitymacji prawnej przy rewolucyjnych zmianach rządów i systemów, sprawę sukcesji itp. — wydarzenia ostatnich lat wykazały absurdalność koncepcji dualistycznej.

---

[1]). Lauterpacht: op. cit. str.50.

Jeżeli zatem pokój świata i porządek w stosunkach międzynarodowych ma być utrzymany musi się uznać wyższość prawa międzynarodowego nad prawem państwowym.

Ta koncepcja prawna jest zresztą wyrazem pewnego światopoglądu uznania, że „ludzkośc idzie przed narodem, zasada równości przed imperializmem — altruizm przed egoizmem".[2] I idąc dalej drogą logicznego wnioskowania i systematycznego szukania wspólnego mianownika dla wszystkich, którzy stanowią w tej chwili Zjednoczone Narody, dochodzimy do „principes généraux reconnus par les nations civilisées."

Te właśnie zasady prawne, tak mgliste, tak bardzo lekceważone w przeszłości przybrać mogą formę wiążącego dokumentu prawnego przez przyjęcie karty praw człowieka przez Narody Zjednoczone. Tylko w ten sposób paliatywy ustąpią miejsca pełnej, odważnej i wiążącej formie międzynarodowej karty praw człowieka.

II.

1. ZASIĘG I TREŚĆ GWARANCJI.

W przeszłości dwie główne przeszkody stawały na drodze przyjęciu międzynarodowej gwarancji praw człowieka:

a). Wybujała koncepcja suwerenności państwa, które nie chciało zrzec się kontroli wszystkiego, co dzieje się na jego terytorium nie uznając jednak żadnej innej władzy nad nim.

b). Trudność w ustaleniu katalogu praw, które miały być objęte gwarancją.

Punkt pierwszy nie wymaga komentarzy. Zastanówmy się jednak nad drugim. Jasnym jest, że zakres praw przyznanych człowiekowi zależy od systemu politycznego państwa. Ale cofnijmy się o krok wstecz — do gwarancji przyjętych przez państwa w ustawach konstytucyjnych i innych, a więc na płaszczyźnie prawa wewnętrznego. Jak już wyżej wykazano — w każdej bez wyjątku koncepcji istniały braki.

Magna Charta (1215) ta najstarsza z ustaw, ograniczająca prawa króla w art.39 była w rzeczywistości tylko koncesją na rzecz feudalnych magnatów. Była ona przywilejem dla jednej tylko klasy, stąd też nazwano ją „wrogą wobec króla i ludu".[3] Późniejszy rozwój konstytucyjny Anglii rozszerzył gwarancje praw człowieka drogą zwykłych aktów ustawodawczych.

W roku 1632 świeccy i duchowni członkowie Izby Lordów i członkowie Izby Gmin przedstawili Karolowi I petycję w sprawie gwarancji praw obywatelskich, w szczególności ochrony przed samowolnym aresztem bez postępowania sądowego. Król petycji uczynił zadość.

Uświęcenie jednak zasad wolności nastąpiło ostatecznie w ustawach o Habeas Corpus, których było kilka (1679, 1689, 1816, 1862). Dały one obywatelowi pełną ochronę przeciw samowolnym aresztom. Dalej przyszedł t.zw. Bill of Rights, który położył podwaliny pod potężną władzę parlamentu. Z biegiem lat i wieków wyrosła teza, której dał wyraz jeden z największych

---

2). Manfred Lachs: Prawo jako system norm. Głos Prawa Nr. 1/2 1938.

3). W. S. McKechnie: Magna Carta, Glasgow, 1905, str.387 i cyt. u Lauterpachta op. cit.str.56, Lauterpacht podkreśla jednak, że wartość Magna Charty leżała nie w fakcie, komu udzielono gwarancyj prawnych, ale w wyłomie z zasady absolutyzmu: że ich udzielono.

"It commenced with recognizing them in some matters, to some extend, for some people, against some organ of the State." (s.57).

prawników Anglii, Dicey: panowanie prawa — rule of law. Trzy elementy składają się na nią: usunięcie samowoli władzy, równość wszystkich wobec prawa i oparcie konstytucji o ogólne ustawodawstwo państwa, z którego ona czerpie swoją moc prawną.

Rozwój znalazł ostatecznie swoje ujście w koncepcji Dicey'a o bezwzględnej suwerenności parlamentu,[4] która uniemożliwia wydawanie ustaw „wiecznych", czegoś w rodzaju uroczystych nienaruszalnych norm prawa. (Acts derogatory to the power of subsequent parliaments bind not.[5]) Doktryna ta stała się nakazem common law. Innymi słowy każda, najbardziej postawowa ustawa zmieniona być może zwykłym aktem ustawodawczym uchwalonym w zwykłym procesie prawodawstwa. Formalnie czyni to wszelkie gwarancje w sferze praw człowieka czy innej, czasowymi. Po upływie lat pięciu następny parlament może — teoretycznie — wprowadzić ustawę o dyskryminacji rasowej czy innej. Gdyby zatem Zjednoczone Narody przyjęły pewne tezy, które z kolei miałyby się stać częścią ustawodawstwa wewnętrznego, fakt ten wymagać będzie remedury.

U kolebki swojej jedna z najwspanialszych doktryn, jakie zna historia amerykańska, zasada wolności człowieka wyraz znalazła w słowach Thomassa Jeffersona i Abrahama Lincolna.

W szatę prawną ubrana, przyjęła ona szereg postanowień ustawodawstwa brytyjskiego. Najpoważniejszym dokumentem jest „Amendment 5" do Konstytucji amerykańskiej głoszące, że nikt nie będzie pozbawiony życia, wolności lub własności „without due process of law."

Czas i epoka, w której prawo to się rodziło — fakt, że było ono tworem młodego, rozwijającego się narodu na nowym kontynencie zadecydowały o dwóch zasadniczych cechach amerykańskiej karty praw człowieka.

Oparta w swej kolebce o zasadę wolności gospodarczej i współzawodnictwa stała się ona tarczą ochronną dla wielkiego kapitału i niebezpiecznym instrumentem w walce gospodarczej. Inny aspekt tak pojętych praw człowieka doskonale określa Walton H. Hamilton: „a constitutional doctrine contrived to protect the natural rights of men against corporate monopoly was little by little computed into a formula for safeguarding the domain of business against the regulatory power of the State."[6]) Taki stan rzeczy doprowadza oczywiście do anarchii gospodarczej i do dominowania wielkiego kapitału nad małym — i tymi, którzy w ogóle nic nie posiadają.

Ale największą chyba bolączką systemu amerykańskiego jest fakt, że gwarancje praw człowieka zatrzymały się przed domami Murzynów, obywateli amerykańskich. Ograniczenia w otrzymaniu pracy, dopuszczaniu do szkół i w prawie wyboru miejsca zamieszkania, są powodem stałych skarg Murzynów, stanowiących dziś 1/10 mieszkańców Stanów Zjednoczonych. W chwili wstąpienia Stanów do wojny, Murzyni zaczęli podlegać tym samym obowiązkom wojskowym, co ludność biała. Równe obowiązki, jeśli chodzi o obronę kraju, a dyskryminacje na odcinku praw obywatelskich doprowadziły do wrzenia. W

---

4) Dicey: Law of Constitution.

5) Keith: Constitutional law, str. 17.

6) The Path of Due Process of Law, in Constitution reconsidered, N.Y. 1938, str. 187 i cyt. u Schwarzenberger: Power Politics, London, 1941, str. 385.

r.1942 Stany stanęły przed niebezpieczeństwem milionowego protestu i marszu na Waszyngton. Dopiero w obliczeniu tego niebezpieczeństwa rząd amerykański zaczął działać. Prezydent Roosevelt wydał zarządzenie, które tonem swoim i ciężarem gatunkowym porównywano z proklamacją emancypacji Abrahama Lincolna.[7] "I do hereby reaffirm the policy of the policy of the United States that there shall be no discrimination in the employment of workers in defence industries of Government because of race, colour, or national origin, and I do hereby declare that it is the duty of employers and of labor organisations, ...to provide for the full and equitable participation of all workers in defence industries, without discrimination because of race, creed, or national origin."

Ale i to nie osiągnęło pożądanego rezultatu. Powołano do życia „The President's Committee on Fair Employment Practice", w którego łonie zasiadają Biali i Murzyni.

Z drugiej strony mamy prawa i obowiązki obywatela przewidziane konstytucją sowiecką z r.1936. W hierarchii praw postawiono na pierwszym miejscu prawo do pracy:

art.118: „Le citoyens de l'U.S.R.R. ont droit au travail, c'est à dire le droit de recevoir un emploi garanti, avec rémunération de leur travail, selon sa quantité et sa qualité."

art.119 — daje obywatelom Związku Radzieckiego prawo do odpoczynku,

art.120 — daje im gwaranję zabezpieczenia na starość, choroby i niezdolności do pracy,

art.121 — daje im prawo kształcenia się.

Dalsze artykuły 122 — 128 dają obywatelom Z.S.S.R. Cały szereg innych praw, które mutatis mutandis zgodne są z gwarancjami konstytucyjnymi państw zachodu.

Tak zatem współzawodnictwo gospodarcze i wolność w życiu gospodarczym zastąpione zostały prawem i obowiązkiem pracy. Zasada gospodarki narodowej ustąpiła miejsca władzy robotników i chłopów. W ten sam sposób w naczelnych prawach przyznanych jednostce w Związku Radziedkim i krajach anglosaskich istnieje konflikt. Można by powiedzieć konflikt zasadniczy.

I tu leży dalszy moment różnicy. A w końcu odmienne są pojęcia odnośnie do prawa własności w Rosji i powiedzmy w St. Zjednoczonych.

Widoczna jest zatem rozbieżność pojęć i praktyk która jest oczywistą konsekwencją różnic systemów politycznych w świecie współczesnym. Zdajemy sobie sprawę z tego, że zachodzi imperatywna konieczność stworzenia międzynarodowej gwarancji praw człowieka właśnie w tej chwili, kiedy faszyzm i hitleryzm leżą w ruinach by zapobiec możliwości ich odrodzenia. Stajemy jednak przed trudnościami natury praktycznej.

Jak pogodzić sprzeczne punkty widzenia? Jak doprowadzić sprawę do wspólnego mianownika? Lauterpacht, proponując w swoim ostatnim dziele przyjęcie pewnej liczby norm w to co nazywa International Bill of the rights of Man w kilku miejscach

---

7) Spectator, 28.8.1942.

waha się, do rozważań jego zakrada się nuta sceptycyzmu: pytanie, czy aby to nie trud daremny? Bo słusznie odrywa się on od ideału i stara się zagadnienie rozważyć w ramach praktycznych możliwości. Jak zatem pogodzić i przezwyciężyć te trudności? Jak pogodzić różne stopnie kultury, ludzi żyjących na szczeblu prawie pierwotnym, robotnika chińskiego z robotnikiem w fabryce Forda; jak znaleźć wspólną podstawę dla Kaysera, fabrykanta potężnych statków i chłopa ukraińskiego?

2. PRÓBA ZNALEZIENIA WSPÓLNEJ PŁASZCZYZNY.

Słusznie przypomniał ktoś niedawno temu, że demokracja jest związana z pojęciem cyfry, że wyrosła ona idąc w parze z postępem wiedzy a skoro nauka osiągnęła większą precyzję pomiarów, związek demokracji z zasadą ilościową zacieśnił się.[8]

W konsekwencji należałoby wyciągnąć wniosek, że demokracja jest tylko i wyłącznie pojęciem kwantytatywnym. Tak jednak nie jest — polega ona na swoistej kombinacji: jakości i cyfry. Bo przecież cały szereg zagadnień ustrojowych, politycznych i prawnych rozwiązujemy nie licząc się wcale z ilością wyznawców tej czy innej opinii, ale słuchając głosów specjalistów, doradców i ekspertów. I technika i prawo i inne sfery życia zbiorowego tak ściśle związane z ustrojem państw idą za głosem kilku, których jakość ma wpływ decydujący.

Czy zagadnienie gwarancji praw człowieka leży w sferze cyfry czy jakości? — oto wydaje mi się pierwsze zasadnicze pytanie nasuwające się jako konkluzja powyższych tez.

Demokracja łączy się też bardzo ściśle z nakazem władzy większości nad mniejszością. Zasada samostanowienia od dziesiątków lat tak bardzo podkreślana, na tym odcinku nie ma zastosowania.

W obronie tej tezy praw większości mówił Lincoln w swoim sławnym pierwszym inauguracyjuym przemówieniu, kiedy południ. Karolina groziła secesją. „On what rightful principle may a State, being not more than one-fiftieth part of the nation in soil and population, break up the nation and then coerce a proportionally larger sub-division of itself in the most arbitrary way?” — wołał Lincoln.

Głos 51 decyduje o losie innych 49 w zbiorowisku 100.

Oto nakaz cyfry, nakaz demokracji. Zródło jego leży bezsprzecznie w tym, że mniejszym złem jest ukrócenie praw 49, niż ukrócenie praw 51 jednostek. Uzasadnienie negatywne jest znacznie bardziej przekonywujące.[9]

Argument cyfry ma jednak swoją granicę, gdyż logiczne jego uzasadnienie utrzyma się tylko wówczas gdy przyjmiemy warunek: ceteris paribus conditionibus. Smierć lub cierpienie jednostki nie może być wyrównane udzieleniem wygód pewnych wolności nawet setkom.

Musi istnieć pewna współmierność wartości strat i korzyści; współmierność dóbr, które stają się ofiarą na rzecz innych, dla których uzyskania następuje ich zrzeczenie się.

---

8) Kenneth Clark: Art and Democracy, w Cornhill, lipiec 1945.

9) Edwin Ker: National Self-Determination and the Right of the Majority, The New Commonwealth Quarterly, April, 1941.

Nakaz cyfry nie może więc przesłaniać widoku, gdy ceną życia dziesięciu ludzi zdobywa się jeszcze jeden bochenek chleba czy ciepłe mieszkanie dla tysiąca innych. To co w prawie karnym nazywamy stanem wyższej konieczności, na płaszczyźnie życia społecznego pełne znaleźć musi zastosowanie: miara wartości musi być zachowana.

Są pewne prawa, które są zasadnicze, a inne dopiero z nich się wywodzą. Nazwano je ostatnio „basic rights"[10] — jak na przykład prawo do życia — a inne „corallory rights", jak prawa obywatelskie i inne.

Współmierność ofiar i korzyści, cyfry i jakości szczególne ma zastosowanie jeśli chodzi o prawa zasadnicze, jako że te właśnie prawa dochodzą do granicy nienaruszalności za żadną cenę. Tak zatem zasada demokracji konsekwentnie prowadzi do praw jednostki: człowieka i jego praw zasadniczych.

Spróbujmy z kolei skojarzyć te dwa elementy na płaszczyźnie tego zagadnienia, które stanowi w tej chwili istotę naszych rozważań. Przyjmujemy demokrację w znaczeniu międzynarodowym. Zgromadzenie Zjednoczonych Narodów określił przecież minister Bevin jako zaczątek parlamentu świata.

Trzymać się musimy założenia, którym jest sprzeczność koncepcji praw człowieka. Zadaniem naszym będzie stopniowe uzgodnienie sprzeczności, doprowadzenie ich do płaszczyzny najmniejszych tarć. I tu zasadnicza koncepcja demokratyczna przyjdzie nam z pomocą a mianowicie aspekt liczbowy.

Czego najbardziej trzeba w tej chwili, największej ilości ludzi? Co jest w tej chwili pragnieniem największej cyfry dziś, po tej okrutnej wojnie? Jakie są elementarne potrzeby a w ślad z tym i żądania milionów, z których poważny odłamek stanowił ofiary tej wojny?

Jeśli potrafimy tą drogą wnioskowania ustalić elementarne potrzeby ludzi, wewnętrzne i zewnętrzne, dojdziemy znacznie łatwiej do ustalenia pewnych praw, które wymagają bezwzględnej gwarancji. Uprzytomnić sobie należy, że żyjemy w epoce kolosalnych różnic gospodarczych kulturalnych i społecznych. Ochrona pracy w Sowietach, ubezpieczenia robotnika zagwarantowane w Anglii, prawie nieznane są w Chinach, polygamia — surowo karana na zachodzie, jest prawem w niektórych państwach mahometańskich; dostęp do szkół i obowiązek nauczania dziś jeszcze jest przywilejem zaledwie drobnego ułamka ludności świata. Przykładów da się przytoczyć dość wiele.

Weźmy dla przykładu sprawę nauki i szkolnictwa: cóż z pięknych deklaracyj o wolnych i tajnych wyborach w krajach, w których większość ludności — to analfabeci. Wyborcy idą do urn, by oddać głos na tych, którzy im zapłacili więcej, głosują na kandydata bez dostatecznego przygotowania i zrozumienia programu, jaki on reprezentuje.

Weźmy cyfry: Chiny z ludnością 422.700.000 mają zaledwie 13.188.000 uczniów w szkołach powszechnych (1932), a 409.000 studentów na uniwersytetach. W r.1931 zaledwie 23% dzieci w wieku szkolnym uczęszczało do szkół. Reszta — aż 67% dorastała bez znajomości słowa pisanego, rzesze analfabetów.

Kolosalny jest odsetek analfabetów w Iranie, a w Ameryce południ. dochodzi w niektórych krajach do 90%. Czyż obowiązek

---

[10]) Charles E. Merriam: The Anuals of the American Academy of Political and Social Science, January, 1946, str. 12, 13.

uświadamiania milionów nie stanowi ważniejszego prawa niż inne, bo na nim dopiero te inne prawa mogą się rozwijać?

Weźmy pracę-prawo i obowiązek pracy. Słusznie podkreślono niedawno temu, że w miarę jak jednostka gospodarcza zrzeka się pewnych praw gospodarczych, zrzekła się w szczególności samowystarczalności gospodarczej na rzecz zdolności produkcyjnej społeczeństwa i celem podniesienia standartu życiowego zbiorowości, obowiązki gospodarcze tejże zbiorowości w stosunku do jednostki wzrastają. W zamian za te zrzeczenia się państwa winne są jednostce dać prawo do pracy, by ona sama mogła wznieśc się na wyższy poziom życia.

Ani deklaracja praw człowieka w New Jersey, ani deklaracja rewolucji francuskiej prawa tego nie przewidziały, bo go przewidzieć nie mogły. Mówiły one natomiast o gwarancji prawa własności.

Dziś danie pracy — możliwości pracy, nie tylko teoretycznej, przez stworzenie równych szans dla wszystkich, ale i praktycznej — życiowej staje się częścią praw — słusznie przysługujących człowiekowi.

Co jest dziś ważniejsze — prawo do własności czy prawo do pracy? Dziś przy tych potężnych przemianach społecznych, własność staje się pojęciem płynnym i ciasnym. Czy własność należy dziś włączyć w katalog praw człowieka? Własność dziś w epoce socjalizacji i upaństwowienia jest jednym z tych elementów, które stanowią podstawę różnic światopoglądów. Lauterpacht w projekcie swoim opuścił prawo własności. Projekt amerykańskiego Instytutu Prawa włączył je w art.10, ale w zakresie bardzo ograniczonym.

Wyraz tym poważnym wątpliwościom dał komitet Assemblé Francji, który kilka tygodni temu odmówił wnioskowi włączenia „Droit de propriété au nombre des Droits de l'homme."

Oto niektóre z problemów, które z miejsca powstają przy układaniu nowej karty praw człowieka.

Powstaje zagadnienie, to samo o którym mowa były wyżej: współmierności, ważności zagadnień i praw wymagających międzynarodowej sankcji.

Dlatego wydaje się, że w chwili kiedy rozpoczyna się rozważania w kierunku ustalenia katalogu praw człowieka międzynarodowo zagwarantowanego, ustalić należy najdoraźniejsze, najistotniejsze i najpowszechniejsze potrzeby jak największej liczby wśród tych, którzy wchodzą w skład Zjednoczonych Narodów.

Pierwszą i naczelną gwarancją, uniwersalnie przyjętą być musi: ochrona człowieka jako człowieka. Bo właśnie tu uderzył faszyzm i hitleryzm, atakując człowieka od kolebki. To capitis diminutio, którą orzekły państwa totalne na pewnych ludzi z powodu ich urodzenia. Przypomnieć warto, że nawet rzymska capitis diminutio maxima orzekaną była tylko w wypadkach winy sprawcy. Tak zatem totalizm poszedł znacznie dalej: orzekał cywilną śmierć człowieka, bez żadnej z jego strony winy. A samo pojęcie śmierci cywilnej już dawno zostało zarzucone przez państwa cywilizowane: Francja zniosła ją art.I ustawy z 31.5.1854, ostatnią ustawą która zniosła śmierć cywilną był kodeks prowincji Quebec (zniesione w 1906 r.)

Dalsze w kolejności być muszą prawa w sferze aktywności ludzkiej: wola i działalność, intelekt i sfera emocji.

W ustalaniu tych zasadniczych praw człowieka przyjdzie nam z pomocą obradujący w tej chwili Międzynarodowy Trybunał

Wojskowy w Norymberdze. Norymberski akt oskarżenia, pod którym podpisani są oskarżyciele Stanów Zjednoczonych, Związku Sowieckiego, W.Brytanii i Francji zawiera jak wiadomo specjalną kwalifikację przestępstwa: a to zbrodni przeciw ludzkości. (Jest to Count Four, str.25-27 aktu oskarżenia). Wyliczając typy tych przestępstw akt oskarżenia wymienia w nich: morderstwo, eksterminację, niewolnictwo, deportację prześladowania z przyczyn politycznych, rasowych i religijnych. Hitleryzm, jako specyficzny objaw totalizmu jest, wiemy o tym wszyscy doskonale, pewną formą myślenia, ideologią polityczną. Celem i zadaniem ostatniej wojny było jego zniszczenie. Ale hitleryzm jest ideologią i w pierwszej swej fazie żyje w świecie myśli. Jako taki zniszczony być nie może. A jeśli mówimy o jego zniszczeniu to chodzi o pozbawienie go łączności z życiem realnym i codziennym. Chodzi o to by hitleryzm i faszyzm stały się absurdalnymi tworami myśli, bez szans realizacji w świecie zjawisk zmysłowych: w życiu politycznym i społecznym, bez wpływu na życie ludzi i narodów.

Trybunał czterech mocarstw w tej chwili sądzi tych, którzy ten „porządek rzeczy" narzucić chcieli światu. Wynik tego procesu — jakkolwiek teoretycznie nie należy przesądzać sprawy sub judice — stanowić będzie pierwszy rozdział karty praw człowieka. Wyrok norymberski na tym, podobnie jak i na innych odcinkach, będzie wyrokiem prawotwórczym. Zasądzając winnych powyższych zbrodni, ustali tym samym po raz pierwszy w historii na płaszczyźnie międzynarodowej: co stanowi przestępstwo międzynarodowe. Charakterystyczną cechą przestępstw przeciw ludzkości, w odróżnieniu od przestępstw innych — zbrodni wojennych i zbrodni przeciw pokojowi — jest fakt, że popełniane być mogą tak w czasie wojny jak i w czasie pokoju. Ich kwalifikacja nie jest związana z wojną. Ich charakter jest w czasie nieograniczony. Tak zatem wyrok norymberski będzie wielkim precedensem. Ustalając karę, ustali też dobra przez prawo chronione, których naruszenie stanowić będzie w przyszłości przestępstwo. Jeśli teraz zwiążemy fakt ten z projektem karty praw człowieka otrzymamy normy prawne gotowe do kodyfikacji w formie zobowiązania międzynarodowego, odnośnie nietykalności człowieka, jako człowieka.

I to stanowić winno trzon przyszłej karty gwarantującej prawa człowieka: prawa ustalone wyrokiem międzynarodowego trybunału. Fakt, iż w trybunale tym zasiadają przedstawiciele czterech wielkich mocarstw, koncepcje prawno-polityczne na tym właśnie odcinku ze sobą się kłócą, będzie poważnym krokiem naprzód, będzie to poważna decyzja w kierunku usunięcia różnic zasadniczych, tych różnic, o których była mowa powyżej. Tym samym pierwszy rozdział karty praw człowieka będzie gotowy.

5. ZALECENIA KOMISJI PRZYGOTOWAWCZEJ ZJEDNOCZONYCH NARODÓW.

W ramach swoich zaleceń dotyczących organizacji Rady gospodarczej i społecznej N.Z. raport Komisji przewiduje w art.15 powołanie do życia Komisji dla praw człowieka. Jako funkcje tej Komisji raport zakłada pomoc Radzie w dziedzinie praw w kierunku rozwoju praw człowieka. Studia jej i zalecenia winny zachęcić do przyjęcia wyższego poziomu na tym odcinku i pomóc w usuwaniu dyskryminacji i nadużyć.

W szczególności Komisja ta będzie miała za zadanie:

a) sformułowanie międzynarodowej deklaracji praw człowieka,

b) sformułowanie zaleceń dla międzynarodowej deklaracji czy konwencji dotyczącej praw obywatelskich (cywilnych), statutu kobiet i wolności informacji,

c) ochrony mniejszości,

d) usunięcia dyskryminacji rasowych, płci, językowych i religii,

e) zajęcie się wszelkimi sprawami dotyczącymi praw człowieka; które by mogły stanowić niebezpieczeństwo dla dobrobytu lub przyjaznych stosunków między narodami.

Zalecenia te konkretyzują się właściwie w zagadnieniu deklaracji praw człowieka. Nie wydaje się celowe wyodrębnienie zagadnień w punktach b. c. i d., jako że stanowią one wszystkie część jednego zagadnienia i fragmenty punktu a).

W szczególności niecelowym jest punkt c)., a to z uwagi na obiekcje jakie istnieją w przedmiocie ponownego zawarcia traktatów mniejszościowych. Obiekcje te wyżej zostały wyłuszczone.

Dodać tu można, że państwa totalne tak bezwzględnie zaatakowały człowieka, że właściwie zatarły różnice między „większościami" a „mniejszościami — i że obie grupy rownie silnej dziś potrzebują opieki czy to od strony potencjalnie odrodzić się mogącego totalizmu czy dyktatury.

Dlatego wszystkie zalecenia Komisji Przygotowawczej krystalizują się w jednym punkcie: gwarancja praw człowieka.

Wydaje się, że przyjęcie karty praw człowieka, która by generalnie stypulowała prawa ludzkie na poziomie, na jakim żyją najstarsze społeczeństwa zachodu i miała natychmiastową moc wiążącą, jest rzeczą nierealną. Nie można wydaniem normy i podpisaniem takiego zobowiązania usunąć różnic i stworzyć jednakiego poziomu dla tak rozmaitych społeczeństw jak te, które wchodzą w skład Zjednoczonych Narodów.

Realistycznie podchodząc do zagadnienia, pracować nad nim musimy etapami. Bo jakże inaczej usuniemy powiedzmy te różnice, jakie istnieją między prawami pracowników w Anglii i Chinach; czy uda się nam jutro usunąć polygamię w Azji i wprowadzić obowiązek nauczania wśród milionów analfabetów?

Pierwsza część karty uświęcona zostanie w Norymberdze, wyrokiem międzynarodowego Trybunału.

Dalsze jej elementy wymagać będą dokładnego studium, badań na miejscu, uzgodnienia doraźnych potrzeb mas ludzkich i ustalenia stopnia ich pierwszeństwa.

Karta praw człowieka — generalnie obowiązująca, uchwalona przez Zjednoczone Narody, prawnie doskonała, byłaby wyrazem pewnego jednolitego poziomu ustalonego między wszystkimi narodami świata. Czy możemy jednak zmienić historię i usunąć różnice w szczeblach cywilizacji, które są w tej chwili najbardziej charakterystyczną cechą naszego życia międzynarodowego? Karta praw człowieka uchwalona jutro będzie tylko wstępem, trzonem dokumentu, który w miarę postępu i ściślejszej współpracy będziemy mogli udoskonalać. Proces ten jest długi i dynamiczny, dynamiczny jak samo życie, bo jest jego refleksem.

KRZYSZTOF RADZIWIŁŁ

KATOLICYZM A NOWA POLSKA

Nie ma chyba dziedziny w której trudniej być ściślej obiektywnym jak w sprawie dwu największych świętości przeciętnego Polaka, religii i narodowości, a zwłaszcza sprawa ich wzajemnego stosunku. Dlatego właśnie nie można tego zagadnienia pominąć jeżeli się chce uczciwie zastanowić nad budową nowej polskiej rzeczywistości i jeżeli nie chce się niczego zostawić na boku, co mogło by się przydać jako materiał do budowy nowego polskiego domu.

Podobno powiedział marszałek Piłsudski o masonerii, że jest to zbyt ważny element współczesności, by go można było pominąć w budowaniu Polski i dlatego choć sam masonem nie był, niektórzy jego ludzie i na tym odcinku starali się Polsce służyć. Sprawa Katolicyzmu w Polsce jest jednak o wiele bardziej skomplikowana.

Katolicyzm polski jest rzeczą o wiele istotniejszą, niż Polska namiastka masonerii i dlatego nie chodzi tylko o zużytkowanie katolickiej dynamiki w odbudowie państwa. Idzie tu o rzecz zupełnie inną, o zrozumienie że wartości twórcze polskiej rewolucji i polskiego Katolicyzmu nie przeczą sobie, a przeciwnie mogą iść ręka w rękę mimo zupełnie różnych założeń ideologicznych. Zacznijmy od rozpatrywania tego co dzieli a nie łączy.

Przyznać trzeba, że choć Polska, jak wszystkie inne narody zachodniej i centralnej Europy, zawdzięcza swoją kulturę w dużej mierze Rzymowi, jednak epoki najbliższego współżycia Kościoła i Państwa w Polsce są równocześnie okresami narodowego upadku. Tak było w dzielnicowej Polsce po śmierci Krzywoustego, tak w czasach saskiej rozpusty i dewocji, tak wreszcie zaczynało być w ostatnich latach przedwrześniowej Polski, kiedy po śmierci Piłsudskiego nie udało się stworzyć ani rzeczywistej przebudowy socjalnej ani znaleźć jakiegokolwiek państwowego mitu i dlatego zaczęto obnosić się z autorytetami kościelnymi z braku innych.

W chwilach narodowej ekspansji, czy to za ostatnich Piastów, czy to za Kazimierza Jagiellończyka, największego z wszystkich Jagiellonów, racja stanu Polski krzyżowała się raczej z ówczesną polityką Watykanu, a w czasach walki o niepodległość Polska łatwiej znajdowała sojuszników wsród antyklerykalnych liberałów niż wśród paktujących z istniejącym status quo dostojników Kościoła. Poprzedzający bezpośrednio wybuch wojny flirt epigonów marszałka Piłsudskiego z klerem, nie wyszedł na dobre ani Kościołowi, ani Polsce.

Kiedy przyszła katastrofa wrześniowa i sześcioletni koszmar okupacji, na placu boju po zaleszczyckich Pilawcach, w których niestety uczestniczył i prymas Polski, jako jedyna ujawniona organizacja pozostał w okupowanej Polsce Kościół.

Stosunek Niemców do hierarchii kościelnej był dwojaki. W prowincjach bezpośrednio przyłączonych do Rzeszy miarodajne były tradycje bismarkowskiego Kulturkampfu zintensyfikowane ad absurdum jak wszystko u narodowych socjalistów. Kościół Polski na tych ziemiach był po prostu tępiony i tysiące rozstrzelanych, lub zamęczonych po obozach koncentracyjnych księży pozostaną na wieczne czasy męczeńskimi świadkami wspólnoty katolicyzmu i polskości w obronie przeciwko germańskiemu neopogaństwu. Ale na terenie Generalnego Gubernator-

stwa polityka niemiecka wobec polskich władz kościelnych była zupełnie inną. Dominująca tradycja nadająca ton niemieckim poczynaniom były to sposoby raczej austriackie i wynikająca z tych metod dezintegracja Kościoła katolickiego i polskości mogłaby się przypuszczalnie udać, gdyby nie godny odpór przeważającej części duchowieństwa z księdzem arcybiskupem Sapiehą na czele.

W ogóle fakt, ze granice dzielące Generalne Gubernatorstwo od włączonych świeżo do Rzeszy prowincji polskich były prawie identyczne z granicami pomiędzy pruskim i austriackim zaborem przed Napoleonem, nie był wcale przypadkowy. Niemiecki naród wówczas rozszczepiony jeszcze na habsburską i hohenzollernowską państwowość dwoma sposobami zagarniał ziemie słowiańskie. W 1936-tym roku połączona w jedno Rzesza również uważała, że z taktycznych powodów należy wchłaniać połknięty łup stopniowo. Dlatego inaczej postępowali Niemcy, zwłaszcza z początku, po obu stronach nowo zakreślonej granicy.

Na terenie Generalnego Gubernatorstwa sposoby kuszenia przez Niemców polskiego kleru do współpracy z władzami okupacyjnymi, były różnorodne. Po pierwsze wygrywana endecka Schadenfreude księży z powodu katastrofy władz starościńskich, jako tych, które często były agresywnie antyklerykalne i dlatego sprawiedliwie musiały zginąć.

Następnie starano się przekonać duszpasterzy przeludnionej wsi polskiej o konieczności propagowania emigracji robotnika do Niemiec, co niestety początkowo, jak świadczą niebaczne kazania i listy biskupie, dało pewne rezultaty.

Wreszcie, zwłaszcza na terenie Warszawy, Niemcy próbowali związać endecki antysemityzm niektórych księży potworną akcją „odżydzania Polski”. I tutaj niestety przyznać trzeba znalazły się jednostki, które dały się skusić i zapomniały o tym, że jeżeli w średnich wiekach chrześcijanie oskarżali Żydów o to, że ukrzyżowali Chrystusa, niemiecki antysemityzm był zbudowany na zupełnie innej nienawiści. Hitlerowscy Niemcy nienawidzili Żydów za to, że Chrystus się między nimi jako Żyd narodził, i że nie byłoby ewangelii bez Starego Testamentu. Dlatego pogańska nienawiść germańskiej dziczy wzmożona przez nowoczesny materializm skierowana była przeciwko żydostwu i chrześcijaństwu równocześnie jako przeciw objawom uduchowienia myśli ludzkiej.

Na koniec po rozpętaniu wojny z Sowiecką Rosją, Niemcy próbowali w księżach katolickich znaleźć sojuszników i agitatorów w walce przeciwko bolszewizmowi i tak zwanym miazmatom. Kler polski w Generalnym Gubernatorstwie z księdzem arcybiskupem Sapiehą na czele, nie dał się zwieść przez Niemców. Niemcy nie potrafili uczynić z Polski przedmurza swojego chrzescijaństwa, które przecież wcale chrzescijaństwem nie było. Zgodność Kościoła i narodu w walce przeciwko Niemcom na terenie okupowanego kraju, zarówno w zabranych prowincjach jak i na terenie Generalnego Gubernatorstwa, została utrzymana zwłaszcza, że po początkowych propozycjach do współpracy, w miarę wzmacniania się zażartosci wojny totalnej, tysiące księży z Generalnego Gubernatorstwa musiało towarzyszyć swoim braciom z nowoprzyłączonych do Rzeszy prowincji na drodze męczeństwa i katorgi.

Nie w zachowaniu się polskiej hierarchii kościelnej leży więc przyczyna nieporozumienia, które istnieje dziś pomiędzy katolicyzmem a racją stanu nowej Polski.

Jako odpowiedź na pozytywne ustosunkowania się do nowej rzeczywistości polskiej takich autorytetów katolickich jak ksiądz Konstanty Michalski, były rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, najwybitniejszy teoretyk polskiej lewicy, Stefan Żółkiewski odpowiada w „Kuźnicy" łódzkiej i podkreśla:

„Nie wiem w jakich warunkach historycznych w Polsce, ruch mas dążących do socjalizmu, musiałby się zetrzeć bezwzględnie z hierarchią kościelną, kiedy musiałby zniszczyć w Polsce kościół i swobodę religijną. Takich warunków w Polsce nie było i nie ma. Proletariat walczył w ten sposób z religią tam gdzie była ona w toku otwartej wojny narzędziem wroga klasowego. Przebieg naszej rewolucji, naszych przeobrażeń gospodarczych i ustrojowych, nie pozwala myśleć schematami przeszłości. Dziś zarówno katolicy jak i marksiści mogą uczciwie wyciągnąć rękę do każdego demokraty i przyjąć każdą wyciągniętą rękę".

Przyczyn nieporozumień pomiędzy Katolicyzmem a Polską należy szukać zupełnie gdzie indziej, niż w dogmatyce czy etyce katolickiej, która jak to widzimy, choćby w powojennej Francji, nie przeszkadza wcale katolikom we współpracy z najbardziej lewicowymi elementami celem społecznej przebudowy państwa.

Przyczyną nieporozumień jest tragiczny impas, w którym znalazła się międzynarodowa polityka Watykanu. I tutaj dochodzimy do głównej części naszych możliwie obiektywnych rozważań.

Tak się jakoś złożyło, że niemal wszystkie narody katolickie poza Polską były politycznie i uczuciowo po tamtej stronie. Pomiędzy Anglosasami Irlandczycy, jedyni stuprocentowi katolicy, okazali sie zbyt płochliwymi w strachu o swoją świeżo uzyskaną niepodległość, wobec Brytyjskiego Imperium i zachowali dlatego pożyteczną dla Hitlera neutralność. O wiele bardziej ważny w Stanach Zjedoczonych, niż w Zjednoczonym Królestwie wpływ irlandzki był też raczej powściągliwy w chwilach wojennego entuzjazmu Ameryki przeciwko Niemcom. A pamiętać trzeba że bardzo liczna emigracja irlandzka w Ameryce nadaje zasadniczy ton amerykańskiemu Katolicyzmowi, który mimo wszystko jest wobec rozbicia sekt protestanckich największym i najbardziej zwartym organizmem wyznaniowym w Stanach, który nie tylko religijnie ale wyborczo, politycznie wystepuje karnie i solidarnie. Otóż wszędzie Irlandczycy byli neutralni, jeżeli nie wręcz antyangielscy. Jeżeli chodzi o Amerykę to druga część katolickiej opinii, południowoamerykańska „Hispanidad" wprawdzie w końcu przystapiła do wojny, ale wszędzie, zwłaszcza w na wpół faszystowskiej Argentynie, wpływy falangistowskiej Hiszpanii nie mogły być całkowicie przezwyciężone. Dlatego także południowoamerykański katolicyzm na pewno nie zmuszał Watykanu do stanowiska wyraźnie antyhitlerowskiego.

A cóż dopiero mówić o katolicyzmie Hiszpanii Franca. .Tutaj tkwi główne źródło nieporozumienia. Tylko katolicka Francja Maritaina odseparowała się rozsądnie do wywalczonego często maurytańskimi rękami zwycięstwa awanturniczego konquistadora. Opinia katolicka na ogół nie poszła z katolickimi Baskami walczącymi u boku rewolucji za wolność i godność człowieka. Dała się ona uwieść uproszczonemu rozumowaniu, że ponieważ Związek Sowiecki popiera hiszpańskich rewolucjonistów miejsce Kościoła jest na Okopach Świętej Trójcy w obronie przywileju klasowego i średniowiecznego zacofania. Związanie opinii

katolickiej z entuzjazmem do sprawy Franca najbardziej komplikuje stosunki Stolicy Apostolskiej z całą, zwycięzką, postępową Europą.

Pomiędzy narodami słowiańskimi zarówno w Czechosłowacji jak w Jugosławii, oba wyraźnie katolickie odłamy tych federacyj Słowacy i Kroaci związali swoje mrzonki o własnych, suwerennych państwach z polityką Hitlera, który zastosował w tym wypadku starą, imperialistyczną zasadę „Divide et impera". Ponieważ w wewnętrznych rozgrywkach czechosłowackich i jugosłowiańskich, katolicka opinia świata była wroga, już dawno przed wojną, zarówno areligijnym szczycącym się husyckimi tradycjami Czechom, jak i prawosławnym Serbom, separatystyczne fikcje katolickich Słowaków ks. Hlinki, jak i Paweliczańskich Kroatów, utrudniają do dziś dnia dobre stosunki Watykanu z nowożytną Czechosłowacją i z Jugosławią wielkiego marszałka Tito.

We Francji i we Włoszech współpraca najlepszych katolików w ruchach oporu ułatwiła sytuację Koscioła i katolicyzmu w bezpośrednim okresie powojennym, ale wyraźnie promasońskie tradycje przedfaszystowskich Włoch oraz nie antychrześcijański wprawdzie, ale mało mający wspólnego z tradycjami katolickimi socjalizm Bluma, utrudniają Watykanowi pozytywną współpracę także i w tych dwóch przeważnie katolickich krajach.

Próby utworzenia katolickiego komunizmu we Włoszech nie przetrzymały rozgrywek wewnętrznych. Grożąca dezintegracja M.R.P. na katolicką lewicę i na nowopowstające stronnictwo „republikańskiej wolności", osłabia też tempo katolickiego wkładu w budowę nowej Francji. Przy tym trzeba pamiętać, że podkreślanie słowa „wolność" w nazwie nowej partii, jest oznaką prawicowości dziś, gdy wolność przeciwstawia się równości nie tylko w pojęciu francuskiego rentiera.

Cyniczny kompromis Mussoliniego z Watykanem, zwany paktem laterańskim, pozbawił Papieża aureoli watykańskiego więźnia i uczynił go tylko włoskim biskupem. Przyjaźń Pétaina do katolicyzmu związała niestety niejednego katolika francuskiego z kolaboracjonizmem z Vichy. Polegał on przecie w istocie swej przede wszystkim na obronie kapitalizmu francuskiego rękami żbirów hitlerowskich.

A wreszcie to, że głównymi twórcami zwycięstwa były materialistyczna i nie tylko ateistyczna, ale oparta na antyrzymskich tradycjach bizantyńskich Rosja, oraz w gruncie rzeczy równie materialistyczna, mimo swego biblijnego faryzeuszostwa, Ameryka, uczuciowo stawiało Watykan po stronie Osi, w której nie tylko rodacy włoscy, ale prawie połowa Niemców była przecież nominalnie katolikami.

Stosunek do Anglii jest już nieco bardziej skomplikowany. Antykatolicka tradycja dawnej Anglii wyblakła już bardzo od czasów, kiedy każdy nowowstępujący król angielski musiał przysięgać, że będzie prześladował Kościół katolicki w swoim królestwie. Dzisiaj o wiele bardziej niż anachroniczny już pamflet przeciw katolicyzmowi Wellsa, odpowiadają opinii przeciętnego niekatolickiego Anglika słowa nowomianowanego kardynała Gryffina wygłoszone po jego powrocie z Rzymu. A mówił kardynał Gryffin co nastepuje: „Katolicki Kosciół i naród Brytyjski stoją mocno na gruncie wolności indywidualnej człowieka, chcą bowiem przede wszystkim zachować godność

ludzką." Ale niestety zaraz potem przeszedł nowo mianowany kardynał na sprawy aktualnej polityki i narzekając na stosunki panujące w Europie Wschodniej stał się do tego stopnia stroną w rozgrywce międzynarodowej, że nie zawahał się pochwalić się tym, że we Włoszech dostąpił zaszczytu poznania generała Andersa. I tutaj wracamy znowu do właściwego tematu naszych rozważań. Tak jak Watykan mimo pozorów wewnętrznej neutralności, podczas wojny uczuciowo był na pewno bliższy państwom Osi, tak obecnie w pokojowej walce o wpływy na świecie pomiędzy odnowioną przez rewolucje wschodnią częścią Europy, a zgrupowanymi wokoło Churchillowskiej Anglii niedobitkami przedwojennego świata, dostojnik Kościoła znowu nie potrafił być neutralny.

W takim stanowisku tkwi największe niebezpieczeństwo dla Kościoła w Polsce. W rozgrywce pomiędzy spowodowaną geograficznym położeniem i słowiańskim sojuszem polityką Rządu Warszawskiego i wypatrującymi pomocy z Zachodu pogrobowcami Polski przedwrześniowej, Kościół katolicki, to znaczy powszechny, nie powinien brać żadnego udziału zwłaszcza wtedy, kiedy pośmiertne konwulsje niemieckiego nacjonalizmu idą ręka w rękę z każdą antyrosyjską polityką. Dlatego nieszczęściem jest, że proniemiecka polityka personalna Watykanu w Polsce zmusiła nas do stwierdzenia, iż konkordat został zerwany. Wywyższanie prohitlerowsko usposobionego biskupa Spleeta do rangi męczennika za kościół, jak czyni to angielska prasa, dowodzi wielkiego braku obiektywizmu w tym względzie. Litowanie się nad bezwzględnie ciężkim, ale po stokroć zasłużonym losem niemieckich jeńców w wigilijnym przemówieniu Ojca Świętego jest zrozumiałe, ale szkoda że brzmi ono jakoś bardziej serdecznie niż rzadkie i nieśmiałe słowa współczucia, które skierowane były do cierpiących gehennę okupacji niemieckiej Polaków.

Najgorzej jednak jest o ile te proniemieckie wystąpienia Watykanu idą paralelnie z pochwałami dla tych wszystkich, którzy równie gorąco, choć o wiele mniej logicznie niż Niemcy, czekają na trzecią wojnę. Postawmy sprawę jasno. Z punktu widzenia etyki chrzescijańskiej wszelka wojna związana jest z takim obniżeniem moralności ludzkiej i rozbudzeniem najgorszych instynktów człowieka, że każdy kto takiej wojny pragnie jest przez to samo wrogiem naczelnej zasady miłości bliźniego na której polega chrześcijaństwo. Ponieważ w dzisiejszym położeniu każda wojna stać się musi wojną totalną i wszechświatową, nie jest ona do pogodzenia z prawdziwym katolicyzmem głoszącym Pokój Chrystusowy, jako radosną wieść Ewangelii.

Dlatego wszelkie wiązanie Katolicyzmu z nacjonalistycznymi egoizmami suwerennych państw musi doprowadzić do smutnych paradoksów, jak dziękczynne nabożeństwa Włoskie za pognębienie walczącej o swoją wolność Abisynii, albo święcenie nożów na świętą trzecią wojnę przez fanatyków Andersa i jemu podobnych.

Dlatego wiązanie katolicyzmu polskiego z pojęciami, które nazywa się nadużywanymi, ale mimo wszystko nie do zastąpienia słowami „reakcja" i „faszyzm", polega głównie na winie tych katolików, którzy nie potrafią oddzielić w sobie religijnej postawy od swego wrogiego względem przemian społecznych egoizmu.

Polska, podobnie jak w poprzedzającej wojnę rewolucji hiszpańskiej bohaterski naród Basków, połączyła sprawę własnej niepodległości ze sprawą walki o przebudowę społeczną świata i ani katolicyzm baskijski ani polski nic na tym nie ucierpiał.

Przeciwnie, znalezienie się katolickich narodów po stronie rewolucji może oczyścić katolicyzm z tych naleciałości, które mimo woli myśl katolicka nabyła przez długi kompromis swój z kapitalizmem.

Śmierć kapitalizmu czy nacjonalizmu tak jak kiedyś zanik feudalizmu, czy też katastrofa monarchii z Łaski Bożej, nie może mieć nic wspólnego z potrzebą religii pomiędzy ludzmi, której to religii najżywotniejszą formą okazał sie w Europie Kościół Katolicki. Dlatego kurczowe trzymanie się minionych form może być dla kościoła tylko szkodliwe, jak na przykład sztuczne przetrwanie przy Watykanie placówki dyplomatycznej byłego emigracyjnego Rządu w Londynie, nie mającego już nic wspólnego z żywą Polską.

Dla dobra Katolicyzmu w Polsce przedstawiciel tej fikcji powinien jak najszybciej opuścić stanowisko przeczące temu, co tak pięknie wyraził cytowany już wyżej ksiądz rektor Michalski: „Ta świeżo rozlana krew tysięcy na świadectwo Zmartwychwstałemu woła na świat silnym głosem. Nic się nie skończyło, wszystko dopiero się zaczyna”. Stosunek nowej Polski z Kościołem nie może być usymbolizowany emerytalną posadą zlikwidowanej przeszłości.

Związanie bliższe religijności polskiej z narodem przez zamienienie międzynarodowego katolicyzmu na jakiś kościół narodowy nie ułatwiłoby niczego. Po pierwsze doświadczenie uczy, że wszystkie kościoły narodowe, czy to prawosławne carskie, czy protestanckie niemieckie, nie wytrzymały próby czasu i zgasły wraz z dynastiami, lub przekształciły się w mit zoologicznego nacjonalizmu. Po drugie, mimo wszystko co się mówi o odrodzeniu religijności przez nieszczęścia wojenne, w rzeczywistości większość ludzi przez wojnę raczej zobojętniała wobec spraw duchowych, niż przeciwnie, a choć elita intelektualna często nawróciła się do Boga, bierna masa raczej odzwyczaiła się od etyki religijnej, którą wyznawała podczas pokoju. Dlatego nie ma dziś w Polsce i na świecie nastrojów, z których mogłyby powstać nowe prądy wyznaniowe. Siła i aktualność katolicyzmu, który przetrwał wszystkie zawieruchy wojenne, polega na jego ponadnarodowości. W epoce tryumfu wszelkich ponadnarodowych ideałów, katolicyzm polski nie może pozbawić się największego atutu, jakim jest właśnie jego ponadnarodowa powszechność.

Ostatnie powołanie kardynałów ze wszystkich czterech stron świata w ten sposób, że pierwszy raz w dziejach, włoscy kardynałowie już nie stanowią większości, jest prawdziwą rewolucją Watykańską, podkreślającą, że Papież zrozumiał, iż pokój zawarty w Lateranie z Włochami faszystowskimi musi być obecnie dopełniony stwierdzeniem ponadnarodowości polityki Kościoła. Na 69-ciu kardynałów jest obecnie jeszcze 27-iu Włochów, ale znając dalekowzroczną konsekwencję tradycji politycznej Watykanu, na pewno można powiedzieć, że z czasem cyfra ta może tylko stać się mniejszą. Pomiędzy pozostałymi kardynałami obie Ameryki będą reprezentowane przez 12-tu, a reszta pozaeuropejskich krajów przez 6-ciu, pomiędzy nimi pierwszy raz jeden kardynał nie będący przedstawicielem rasy białej, Chińczyk Tien. W ten sposób Kolegium Kardynalskie

składać się będzie z 27-iu Włochów, 18-tu kardynałów z innych kontynentów, oraz tylko 24-ch przedstawicieli starej Europy. Ten sam objaw zepchnięcia Europy na szary koniec, który rzucał się w oczy na pierwszym zebraniu U.N.O. widzimy i w uzupełnionej najwyższej radzie Kościoła. Przy tym, choć ostatni nie włoski Papież Adrian z Utrechtu panował w latach 1522-23, nie jest rzeczą wykluczoną, że tradycja wybierania papieży Włochów może się z czasem skończyć. Waga gatunkowa, jaką odgrywa obecnie nowojorski arcybiskup Spellman, daje wiele do myślenia.

Dlatego ciesząc się z podkreślenia ponadnarodowości Kościoła i odseparowania się od polityki ściśle włoskiej, można jednak zrozumieć obawę moskiewskich „Izwiestii", że polityka watykańska, która przestała grawitować w kierunku włoskiego faszyzmu, obecnie nie potrafi być neutralna w walce pomiędzy kapitalizmem a resztą wierzącego w postęp świata.

My Polacy, dla których zarówno faszyzm jak kapitalizm nie godzą się z racją stanu naszego narodu, podzielamy tę obawę w zupełności.

Chodzi tu o rzecz najważniejszą, czy optymistyczna wiara w postęp człowieka z własnej siły da się pogodzić z pesymizmem religii objawionych, które wychodzą z założenia, że człowiek skażony przez grzech pierworodny może być dopiero zbawiony przez interwencję Boga.

Fakt przetrwania Kościoła Katolickiego dłużej od niesprzeciwiającego się złu prawosławia i zrezygnowanych w myśl fatalistycznego kalwinizmu kościołów protestanckich, potwierdza przekonanie, że aktywizm postawy katolickiej najłatwiej da się pogodzić z laicką wiarą ludzkości w postęp według praw własnej ewolucji. W Polsce, gdzie religijność istnieje prawie wyłącznie w formie katolickiej, jest to łatwiejsze do urzeczywistnienia niż gdzie indziej. Oddajmy znów głos p. Żółkiewskiemu z marksistowskiej „Kuźnicy" łódzkiej. „Jakkolwiek stanowisko lewicy polskiej w sprawach niebieskich różni się biegunowo od stanowiska Księdza Michalskiego jego stanowisko w sprawach ziemskich możemy i powinniśmy uznać za słuszne.

A ponieważ większość polskich katolików tych z masy ludowej, przy całej różnicy teoretycznej świadomości, praktycznie myśli, czuje i działa jak Ksiądz Michalski, wspólny front demokracji polskiej, odbudowującej Kraj, front biegnący od Katolicyzmu do Marksizmu jest możliwy i potrzebny więcej, w praktyce staje się coraz bardziej faktem. Jeśli ideolodzy nie chcą się wlec w ogonie mas, winni to wziąć pod uwagę".

I mądrze potwierdzając katolicki optymizm dodaje ksiądz Michalski w Grudniu 1945 roku, w drugim artykule. „Istnieją losy złe i losy twarde. Nie złym lecz twardym jest los państwa polskiego w obecnej chwili, kiedy tyle spraw brzemiennych w następstwa trzeba rozpoczynać od nowa".

Katolicyzm, jako najbardziej wśród wszystkich kościołów chrzescijańskich, podkreślający skuteczność wolności woli ludzkiej, nie wypadnie z rytmu w okresach dziejowych, które jak nasza epoka powojenna, przepełniona jest wolą całej ludzkości do stworzenia sobie lepszej przyszłości na gruzach tego co sprawiedliwie zburzyła wojna.

Że w Polsce rozumieją to wszyscy, może świadczyć sposób w jaki przyjmowano Kardynała Sapiehę, powracającego z Rzymu, z kapeluszem kardynalskim, którego mu na pewno nie życzyła polityka Sławoja-Składkowskiego.

Siła charakteru, którą okazał w oporze przeciwko temu wszystkiemu co było nieszczere i niezgodne z istotą prawdziwego katolicyzmu, została w końcu nagrodzona.

Zrozumiał to naród, czym świadczyć może choćby taki wyjątek z Krakowskiego Dziennika, odzwierciedlajacego demokratyczną opinię kraju: „Rozmiary powitania kardynała Sapiehy oraz udział władz świadczą o przyjaznych stosunkach łączących polską demokrację ludową ze sferami katolickimi. Lud nie zwraca się przeciwko duchowieństwu, które cieszy się opieką i poparciem państwa. Pomiędzy Polską a Watykanem brak w tej chwili konkordatu nie z winy polskiej, która gotowa jest do porozumienia, byle by uznano nasze prawa i życiowe interesy".

Oby stało się to jak najprędzej. Wszystkie znaki na niebie wskazują na to, że nie jest to tak niemożliwe, jak myślą nieprzejednani Polacy na emigracji. Wszak jeszcze w wydanej przed wojną broszurze „Contract social" pod auspicium Kardynała Mercier, stoi czarno na białym, że katolicyzm który potrafił znaleźć modus vivendi z tak obcymi mu systemami jak feudalizm, czy kapitalizm, potrafi dojść do porozumienia z tym ustrojem, który nastapi po ostatecznej likwidacji kapitalizmu na świecie.

W Polsce, gdzie właściwie nie było nigdy ani prawdziwego feudalizmu, ani rodzimego kapitalizmu w europejskiej skali, sprawa znalezienia wspólnej drogi nowego ustroju społecznego z kościołem Katolickim, jest najłatwiejsza. Chodzi tylko o to, ażeby polska rewolucja uznając teorię marksistowską ekonomicznego rozwoju świata, umiała ustrzec się od pseudo-marksistowskiej dogmatyki, mającej się stać namiastką opium dla narodu. Katolicyzm polski natomiast powinien patrzyć na nową rzeczywistość jedynie z punktu widzenia etyki katolickiej, a nie z punktu widzenia przemijających aktualności politycznych.

STANISŁAW ŁEMPICKI

KSIĄŻKI I LUDZIE WSPOMNIENIA Z MINIONYCH LAT

I.

Nie często się zdarza temu samemu człowiekowi w trzech okresach życia, poprzecinanych dużymi odcinkami innych lat, działać na jednym i tym samym terenie.

Człowiek jest niby ten sam i teren ten sam, a jednak za każdym razem i człowiek i teren są inni.

Bywa tak zwłaszcza wtedy, gdy — jak w naszej epoce — żyje się w czasach olbrzymich przełomów dziejowych, w których na kilkadziesiąt lat ludzkiego życia przypadają choćby dwie takie apokaliptyczne zawieruchy, co trwają po kilka lat, a starczą za kilkaset. Żyje się na granicy dwu epok; oblicze tej nowej, nadchodzącej epoki nieznane jest nikomu i budzi trwogę o losy młodych i najmłodszych, co może przetrwają.

Życie moje i rówieśników moich przypadło na czasy osobliwe. Dzieciństwo nasze i lata młodzieńcze — to było ćwierćwiecze przed pierwszą wojną światowa, któro wybuchła późnym latem 1914-go roku. To był koniec XIX-go i początek XX-go wieku, epoka spokoju i wytchnienia, która zapomniała o dawnych

wojnach, a żyła równo, swobodnie i wesoło. Żyła w atmosferze swojej dogodności życiowej, swojej prosperity, toczącej się pewnie, z dnia na dzień, jak słońce od wschodu ku zachodowi. Tak miała się rzecz przynajmniej w byłej Galicji austriackiej, we Lwowie, czy gdzie indziej, w niektórych sferach społeczeństwa, np. wśród inteligencji pracującej w miastach, czy wśród mieszczaństwa. Nie było im za dobrze, nie stąpało się po różach i nie przelewało się z rogu obfitości, ale wśród zwykłych kłopotów życiowych było przecież daleko więcej jasnej pogody, aniżeli ciemnych, ponurych dni. Początek nowego stulecia budził zaś uparcie „jakieś oczekiwanie tęskne i radosne", jeśli szło o sprawę narodową polską. Im dalej w poczynający się wiek XX-ty tym częściej czuło się w powietrzu zapach prochu i wiosny.

Refleksy tej atmosfery spokoju i dogodności życiowej, o której wspomniałem, padały także na instytucję, którą mam tutaj na myśli, tj.na Ossolineum. Życie w nim i praca na tle jego sal i księgozbioru, splotły się jak najściślej z moimi latami uniwersyteckimi, akademickimi, które — obok dzieciństwa — uważa się zwykle za najszczęśliwsze.

Młodość, rozpędzone dopiero co kolo życia, era marzeń i projektów, koleżeństwa i przyjaźni, miłostek i miłości, a przede wszystkim wielkiej ciekawości dla wiedzy i niefałszowanego szacunku dla nauki — to czynniki nadające temu pierwszemu młodzieńczemu współżyciu z Ossolineum szczególnie wiele uroku. Dzisiaj po latach zmartwychwstaje ta era we wspomnieniu z niezwykłą siłą jak wszystko, co tchnie barwami młodości i wonią rzeczy błogich, które się nigdy nie powtórzyły i nie powtórzą. We wspomnieniu może i pięknieje niejedno; może zaciera się czasem to, co było cieniem lub plamą. Prawda w zasadniczych swoich konturach jawi się jednak niezmieniona; zachowała się żywa i młoda w cieple ludzkiego serca.

Pierwszy okres mego ossolińskiego żywota, to nie tylko te dwa lata, w czasie których — jako student uniwersytetu — byłem stypendystą Zakładu Narodowego. Okres to daleko dłuższy, liczący lat około 10 (może trochę mniej), okres studiów, przygotowania się do egzaminów i doktoratu, a potem początków samodzielnej pracy naukowej w wybranej dziedzinie. Pracownia Ossolineum była tutaj ciągle dalej tłem, gdy przestał nim być dawno uniwersytet, widziany od studenckiej parafii. Stąd to wrażenia, sylwetki ludzi i zarysy zdarzeń z pierwszych lat naszego stulecia wiją się na kartkach tego pamiętnika obok wrażeń, odbieranych już niemal przy huku dział pierwszej wojny.

Minęło od tego czasu lat 10 i więcej. Młodzieniec urósł w mężczyznę, i to takiego, co zbliżał się już do czterdziestki. Wojna przetoczyła się nad światem, a ci, co przeżyli, powrócili do domów. My doczekaliśmy się ziszczenia najśmielszych snów naszych ojców, dziadów i pradziadów.

I znów wypadki odbijają się na Ossolineum. Jedna z najszacowniejszych placówek kultury polskiej staje w nagłym oślepiającym słońcu wolności i zabiera się do wytężającej pracy dla dobra i nauki zjednoczonego narodu.

Już jako profesor uniwersytetu, ojciec rodziny, człowiek przekraczający „lat swoich południe", znalazłem się znowu w tym samym Ossolineum, które było mi towarzyszem najmilszych moich młodych lat. Ludzie już tu byli nowi, stosunki

inne. Z dawnych znajomych ostały się tylko niedobitki, wysunięte znacznie naprzód w karierze życiowej, nieraz na przodujące w Zakładzkie stanowiska. Innych zabrakło: jedni (nawet młodzi) poumierali, drudzy porozbiegali się po nowej Polsce wszerz i wzdłuż.

Znalazłem się zresztą nie w Bibliotece, jak przed laty, ale w wielkim przemysłowo-handlowym oddziale Zakładu, w jego Wydawnictwie; nie jako skromny stypendysta w kąciku przy oknie, ale w roli kierownika redakcji literackiej oficyny wydawniczej, który miał nadać jej szerszy charakter i powojenne tempo.

Byłem teraz przez dwa lata z górą jak gdyby naprzeciw dawnego mego Ossolineum. Naprzeciw — w podwójnym znaczeniu: fizycznym (w budynku pod Ossolińskich 11) i moralnym, bo na niemiłej i niepewnej fali utajonych zrazu tarć pomiędzy Biblioteką-Zakładem a Wydawnictwem, pomiędzy dążeniami obu tych instytucyj i ich ludzi. Tam nauka — tu handel; tu nowoczesne ryzyko — tam stare, szanowne tradycje.

Przesunęło się teraz przede mną mnóstwo nowych spraw i osób. Żyliśmy tu bowiem jak na cyplu, wysuniętym z dawnej staropolskiej fortecy w miasto, pełne gwaru swoistych tętniących i niepokojących interesów. Żyliśmy i pracowaliśmy w czasie, kiedy z roku na rok, z miesiąca na miesiąc, rosła i potężniała Polska, a książki, któreśmy produkowali, były dla niej potrzebne, jak drugi chleb codzienny.

Minął potem i ten drugi okres pracy mojej dla Ossolineum, okres — już nie tak jasny i dobry, jak tamten młodzieńczy; los do miodu namieszał goryczy.

I nie myślałem już nigdy później, że mógłbym się jeszcze kiedyś znaleźć w Ossolineum w innym charakterze, jak tylko czytelnika i badacza, posadzonego w odnowionej pracowni na górze. Przeszło nowych 15 lat, i człowiek miał pięćdziesiątkę z okładem na barkach. Zawodu zmieniać absolutnie nie myślałem, do bibliotekarstwa nigdy się nie paliłem, i ani mi się nie śniło oglądać na jakieś wysokie wakanse w takiej czy innej bibliotece. A przecież nie odmłodzą mnie znowu i nie wrócą na stanowisko stypendysty do Ossolineum. Ileż by człowiek dał za takie odmłodzenie... Ile z swojej całożyciowej kariery oddałby losowi z powrotem!

A jednak stało się tak, że wróciłem do Ossolineum i znowu na krzesełku prawie że stypendysty. I mimo siwych włosów i coraz słabszego serca, odmłodzono mnie, przynajmniej na czas jakiś; usadzono mnie wśród młodych, tak, że poczułem się duchowo na powrót stypendystą sprzed 36 lat i zacząłem nawet pisać madrygały do młodych koleżanek.

Zapędziła mnie tu wojna. Urzędowanie moje w roli bibliotekarza rozpocząłem z końcem listopada 1941 roku. Przyszedłem po okresie wielkiego niedostatku i nawet prawdziwego głodu, zaznanego pierwszy raz w życiu. Było to w kilka miesięcy po zajęciu Lwowa przez wojska niemieckie. Przez lato i wczesną jesień 1941 r. nie miałem żadnego zajęcia i oboje z żoną cierpieliśmy najnormalniejszą biedę. Ossolineum przygarnęło mnie z całą gotowością i serdecznością. Kierownik Zakładu, a dawny kustosz Muzeum Lubomirskich, Mieczysław Gębarowicz, jak brat najlepszy i kolega najżyczliwszy, stanął za mną i był mi zawsze wytrwale pomocny. Otoczyły mnie, jednego z „najmłodszych" pracowników, dobre twarze i zacne serca.

Jednego dnia zdałem sobie jednak sprawę, że na moim skromnym, wojennym stanowisku w Zakładzie, jestem wśród tych pięćdziesięciu kilku osób, najstarszym Ossolińczykiem. Był jeszcze Władysław Wisłocki, ale go już zabrakło. Powoli zacząłem rozglądać się po Zakładzie, po dobrze znanych mi pokojach, korytarzach, składach i zakamarkach, a wspomnienia dawnych lat zaczęły chodzić za mną, jak cienie.

I zabrałem się do kreślenia niżej podanych kart mego ossolińskiego pamiętnika. Pamiętnik — to może za dużo. Bo przy pisaniu „pamiętnika" (na przekór etymologii) posługują się ludzie zazwyczaj różnymi notatkami, źródłami, czasopismami itd. Ja pisałem te moje kartki tylko w oparciu o własną pamięć. Nie było czasu, ani sił, ani humoru po temu, ażeby „sięgać do źródeł".

Jak znany historyk Lwowa, Bartłomiej Zimorowicz, nazwał swoją barokową historię rodzinnego miasta „Leopolis triplex" (Lwów trojaki), tak i ja mógłbym nazwać tę garść wspomnień: „Ossolineum triplex" (Ossolineum trojakie). Tylko, że w nieco odmiennym zrozumieniu, niż piewca „Sielanek". On miał na myśli trzy narodowości, rządzące kolejno Lwowem, a w ślad za tym trzy epoki w rozwoju miasta. Ja, skromnie drepcząc za mistrzem, oparłem o trzy okresy mego życia: młodość, wiek męski i — powiedzmy — wiek „starszego", siwego pana, to wszystko, co jako drogie i miłe, ciekawe i charakterystyczne, utkwiło w mej pamięci z przeszłości i teraźniejszości Ossolineum.

A teraz jawisz mi się przed oczyma duszy — jak mawiali romantycy — drogi gmachu ossoliński, w podkowę ustawiony u stóp Wronowskiej Góry, otulony w zieleń, twarzą zwrócony na północ, ku miastu, a z boków, od skrzydeł oświetlony słońcem wschodu i zachodu.

Byli na pewno we Lwowie ludzie pokornego ducha, którzy nie wiedzieli, kiedy Ossolineum powstało, co zacz było jego fundator, i jakie to zadania miała ta instytucja do spełnienia. Ale nie było takiego ubogiego duchem Lwowianina, do którego świadomości by nie doszło, że ten z dawnego kościoła przerobiony budynek jest jakimś szacownym zabytkiem, jest wielką skarbnicą polską, zawierającą w sobie wiele tysięcy starych i nowych książek, obrazów, pamiątek, niemal że relikwij.

Z otwartymi szeroko oczyma oglądały przez dziesiątki lat dziecinne wycieczki szkolne te wszystkie skarby; czasem zakręciły się kolorowym wężem inne wycieczki prowincjonalne (np. ludowe), a dokładali do tego swoje opowiadania i pracownicy Zakładu Narodowego (urzędnicy, zecerzy, służba) i tak urosła od dawien dawna swoista legenda Ossolineum, przyznająca tej instytucji całkiem wyjątkowe stanowisko.

Nieraz ktoś dobrze wymówić nie umiał nazwy Ossolineum, nieraz przekręciło ją dziecko, ale każdy z polskich czy obcych przechodniów spoglądał z respektem na stary gmach za sztachetami, na monumentalny epigraf o fundatorze, na otwarte latem okna, za którymi siedzą panowie i panie nad biurkami pełnymi książek.

I tak się już tu u nas utarło, że Ossolineum było nieporównane z żadną inną lwowską biblioteką, a z pozalwowskich czuje się swojsko tylko w towarzystwie prastarej Jagiellońskiej w Krakowie. I weszło w zwyczaj, że o Zakładzie Narodowym

Ossolińskich mówiło się we Lwowie bez namysłu przed wszystkimi innymi instytucjami kulturalnymi. Dlaczegoż to tak? Przecież co do starożytności nie może się Ossolineum równać z przeważną liczbą innych polskich bibliotek. Tamte powstały wcześniej i pod względem swoich zasobów są nieraz bogatsze.

Przyczyna kultu Ossolineum tkwi zatem w czym innym. Opowiada o tym historia Zakładu, której powtarzać tu nie będziemy. Wystarczy rzec krótko, że przyczyna tkwi w równoczesności i organicznym związku rozwoju Ossolineum z dźwiganiem się Lwowa spod ciężaru wieloletniej germanizacji i bezwzględnego władania niemieckiego ducha w 1-szej połowie XIX wieku i później. Ossolineum było wtedy jedno jedyne. Uniwersytet, szkoły, inne biblioteki — wszystko to było niemieckie. Może jeden teatr próbował czasem wyłamać się spod jarzma. Do Ossolineum zbiegały się wszystkie myśli polskich pracowników naukowych i młodzieży. Tu był warsztat pracy nad podtrzymaniem chwiejącego się na wietrze płomienia polskiej kultury, oświaty, nauki, i nad wytwarzaniem nowych wartości w tych dziedzinach. Tutaj była świątynia książki polskiej. Czuwali nad jej konserwacją i kontynuacją ludzie wyborowi.

Lwowianin kocha Ossolineum. Z tą samą miłością przystępuję i ja, stary, chociaż nie rdzenny lwowianin, do odświeżenia i zanotowania moich wspomnień, złączonych z Zakładem Narodowym. Może się to komuś przyda w przyszłości.

A że piszę z miłościa, więc proszę się nie dziwić pewnym rzeczom: z jednej strony tu i ówdzie niejakiemu przelewowi serdeczności, który do „historycznej prawdy" dodaje kroplę uczucia; z drugiej strony, na innym miejscu, pewnemu żachnięciu się lub jakiemuś słowu goryczy.

Jedno i drugie wiąże się z moim pozytywnym, przez tyle lat w gruncie niezmienionym, stosunkiem do Ossolineum.

Tylko obojętność jest zawsze poprawna, równa i gładka. Miłość zna i oświadczyny gorące i nieporozumienia groźne nieraz, jak wielka letnia burza, która jednak przemija.

* * *

Ogłoszone poniżej fragmenty są częścią pamiętnika, odnoszącego się do Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, z którym autora los związał trzykrotnie: w młodości studenckiej, w pełni lat dojrzałych, a niespodzianie — i przed wieczorem życia. Początkowe rozdziały tych wspomnień pomieszczone zostały niedawno w warszawskiej „Nauce i Sztuce" nr. 3-4, 1915 r. Odnosiły się one do pierwszych lat (1904-1910) bieżącego stulecia. Obok uwag ogólnych o roli ówczesnego Ossolineum w kulturze polskiej, obok wywołania z pamięci obrazu Zakładu z tych lat, atmosfery jego sal, biur i sposobu pracy — znalazły się tam sylwetki najwybitniejszych ludzi tej instytucji. Ukazano Czytelnikowi, bez pretensji do szczegółowych biografij, rysy fizyczne i duchowe, oraz znaczenie w historii Zakładu i w życiu polskim ludzi takich jak: dyrektor Wojciech Kętrzyński, profesor Aleksander Hirschberg, dr Bronisław Czarnik, Władysław Bełza, profesor Wilhelm Bruchnalski, Bronisław Gubrynowicz i Tadeusz Czapelski. Inne postacie starszych i hucząca życiem gromada młodych współpracowników Zakładu, wraz z charakterystyką głośnej pracowni Ossolineum w onych latach — wypełnia dalsze karty tych wspomnień.

II.

Kętrzyński, Hirschberg, Czarnik, Bruchnalski, Bełza, Czapelski — to był w początkach naszego stulecia sztab bibliotekarski Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Ile postaci — tyle indywidualości odmiennych, a ciekawych i godnych pamięci.

A obok tych żywych i czynnych, prowadzących aktualnie poważną machinę Zakładu, byli jeszcze tacy żywi, którzy już byli cieniami.

Żył jeszcze człowiek wielkiego niegdyś nazwiska, wicekurator Zakładu Narod. im. Ossolińskich przez lat 44 (z 10-letnią przerwą) Antonio Małecki, zmarły dopiero w 1913 roku. Siwiutki, jak gołąbek, zgarbiony w plecach (a niegdyś wysoki i postawny), nie przypominał ten schodzący czasem do biblioteki staruszek, z przechyloną na bok głową i zaczerwienionymi oczami, dawnego profesora i rektora Uniwersytetu lwowskiego, na którego wykłady o literaturze polskiej ściągał się przez całe lata, w późne popołudnia, cały kulturalny Lwów, nie wyłączając pań. A było to w latach 1856-1873. Na te i na nieco późniejsze czasy przypadły też najlepsze dzieła Małeckiego: entuzjastyczna, odkrywcza monografia o Juliuszu Słowackim, prace gramatyczne i historyczne, wreszcie utwory dramatyczne uczonego, który był także poetą. Niegdyś Lwów rozbrzmiewał jego sławą. Teraz na ogól prawie że zapomniał o osiemdziesięciokilkuletnim starowinie, mieszkającym na I-szym piętrze nad Muzeum Lubomirskich, razem z sędziwą już także małżonką. Wyjątkowo chyba wyciągano go z zacisza tej życiowej emerytury i pokazywano w prezydium honorowym jakiejś uroczystości. Niektórzy myśleli nawet, że już dawno nie żyje. Tylko młodzież gimnazjów galicyjskich pamiętała dobrze jego nazwisko, jako autora szkolnej „Gramatyki języka polskiego", którą wydał jeszcze w roku powstania styczniowego, a która miała już co najmniej 10 wydań. Gramatyka była mądra, ale ciężka, napisana trochę staroświeckim językiem przez wielkiego uczonego, stojącego już z dala od szkoły średniej; była też nieraz — o ile nie znalazła się w rękach dobrego nauczyciela — istnym utrapieniem dla uczniów.

Antoni Małecki dożywał w gmachu Ossolineum złotej jesieni swego długiego żywota. Pracował jeszcze nieco, np. przerabiając swoją gramatykę szkolną. Na dół, do biblioteki, zachodził tylko bardzo rzadko w odwiedziny do Kętrzyńskiego (u siebie nie bywali, bo żony ich się nie lubiły), albo na jakiś uroczysty akt, jak np. zaprzysięganie nowych stypendystów. Szmer powstawał w biurach, gdy się pojawił. A zaraz potem milczenie, pełne szacunku, i korne pochylenie głów. Jakby powiało tchem 50-tych i 60-tych lat ubiegłego stulecia. Wszakże ten siwiutki pan żył równocześnie z Mickiewiczem i Słowackim. A Małecki szedł powolutku, uśmiechnięty, przez pokoje, witał się z urzędnikami i stypendystami. Tylko pamięć mu już nie dopisywała. Brał czasem któregoś z nas za jednego z naszych poprzedników, co przed laty pracował w Zakładzie. Udawało się wtedy, że wszystko jest w porządku.

Siadali z Kętrzyńskim naprzeciw siebie w fotelach, w dyrektorskiej kancelarii: Wielkopolanin z Objezierza i Mazur pruski z Łecu, zabłąkani w Galicji, i rozmawiali głośno, bo ze słuchem u obu niecałkiem już było dobrze. Do naszego „pokoju

ze schodkami" dochodził otwarty, donośny głos Małeckiego o jasnej wzorowej polszczyźnie, i cichszy, bąkliwy wtór Dyrektorą łamiącego się z ojczystą wymową. Nieraz było słychać śmiech i żarty: starzy opowiadali sobie anegdotki.

Poza tym o pp.Małeckich wiedziało się niewiele. Siedzieli sobie w swoim dużym mieszkaniu, a do obiadu i kolacji lubili widocznie wypić po szklaneczce piwa, bo co pewien czas przywożono im swieżą paczuszkę z butelkami „okocima", zabierając opróżnioną bateryjkę.

Za to ja miałem sposobność oglądać sędziwego autora monografii o Słowackim i „Grochowego Wieńca" — niemal codziennie. Z okna naszego mieszkania parterowego przy Mochnackiego 29, widziałem go, jak każdego pogodnego południa szedł sam, powoli, przez tę ulicę na przechadzkę do Stryjskiego Parku. Od Ossolineum przez Kaleczą, Chmielowskiego, Mochnackiego, Supińskiego — prawie ciągle pod górę. Ręce miał założone z tyłu i trzymał w nich laskę. Prawie nigdy się nie podpierał. A dziewięćdziesiątki już dobiegał. Taki schludny, starannie ubrany staruszek, w czarnych rękawiczkach. Przechodnie nie wiedzieli, że to rektor Uniwersytetu Lwowskiego z 1872 r. Patrzyło się na niego z podziwem: stara gwardia, co nie tak łatwo dawała się śmierci.

Po raz ostatni przypomniano Małeckiego miastu w 1913 roku, na jego wspaniałym pogrzebie. A więc on żył jeszcze? Tylko my, niedawni Ossolińczycy, wiedzieliśmy dobrze, że żył, i szliśmy z powagą za rydwanem.

Drugim człowiekiem-cieniem na terenie Ossolineum był w owych latach E d w a r d P a w ł o w i c z. Mieszkał w głównym gmachu w parterze na prawo, tam, gdzie dzisiaj biura urzędników biblioteki. O jego istnieniu nie wiedzieliśmy początkowo wcale, bo choć podobno młodszy od Małeckiego o 4 lata, nie opuszczał już prawie mieszkania. Czasem tylko, gdy się wychodziło na papierosa (ze względu na płuca Czarnika, bo w innych biurach palono), natykało się w półmrocznym korytarzu na dziwną marę. Szedł o lasce wysoki, chudy starzec o uwiędłej twarzy, z siwą bródką, w wielkich okularach, w jakimś osobliwym szlafroku czy kabacie. Zdaje mi się, że nieraz z dymiącym cybuchem w ręku. Dreptał tam i sam, po czym znikał w drzwiach mieszkania. Przestraszyć się go można było, a przecież nieraz mówiono, że w Ossolineum — jak zwykle w starym klasztorze — coś straszy. Sam zadrżałem, zobaczywszy go po raz pierwszy, chociaż dopiero co ustąpił oficjalnie ze stanowiska kustosza Muzeum Lubomirskich.

Edward Pawłowicz (ur. 1829 r.), Litwin z krwi i kości, twardy i uparty, niegdyś zdolny malarz, wychowanek Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, w Rzymie i Paryżu, z kolei powstaniec 1863 r. i Sybirak, a potem emigrant i włóczęga, artysta i pisarz — przez 35 lat sprawował rządy nad Muzeum. On je właściwie dopiero organizował i urządzał, pomnażał i inwentaryzował, kładąc na tym polu niezaprzeczenie wielkie zasługi. Inna rzecz, że opowiadano o nim podobne kawały, jak o owym legendarnym kustoszu rapperswylskim, który obok najcenniejszych autentycznych pamiętek, pomieszczał także dziwaczne okazy i urojone falsyfikaty, upierając się przy ich niemal religijnej wartości. Po ustąpieniu Pawłowicza miano i w Muzeum Lubomirskich usunąć także niejedną taką „relikwię".

Mieszkał tyle lat we Lwowie, tutaj się postarzał, a duchem i tęsknotą ulatywał zawsze ku swojej Litwie. Pisał o niej swoje wspomnienia. Do końca życia przeciągał śpiewnie po litewsku i nie wyzbył się wileńsko-białoruskiej maniery w swojej polszczyźnie. Był starym kawalerem, żył skromnie, a wieczorami słychać było, jak grał na gitarze dawne sentymentalne piosenki; niby jakiś lokator z Or-Otowego Starego Miasta.

Kontaktu nie mieliśmy z nim już żadnego. Zdejmowaliśmy tylko kapelusz przed starcem.

Gdy ciężko zachorował w 1909 r, umrzeć nie mógł i męczył się długo. Jego polskie z Litwy rodem serce było mocniejsze niż choroba. Podobno prosił, żeby go dobić. Kiedy wreszcie zamknął oczy na zawsze, opowiadał Czapelski, że przekonano się z odnalezionego oryginału metryki, że był o 10 lat starszy, niż podawał. Miałby w takim razie 94 lat. Ale u p.Tadeusza nigdy nie można było wiedzieć, czy mówi coś na serio, czy opowiada kawał.

I jeszcze jeden człowiek starej daty wśród urzędników Zakładu Narodowego. Nie można go pominąć, chociaż zawsze pozostawał w cieniu, to jako pracownik „Wydawnictwa Książek Szkolnych" pod Bełzą, to jako „siła pomocnicza" w bibliotece w ostatnich latach swego życia. Tym szarym pracownikiem był S t a n i s ł a w K o ś m i ń s k i, dziecko paryskiej emigracji, wychowanek Szkoły Polskiej w Batignolles pod Paryżem i podobno nauczyciel tej szkoły, po powrocie do kraju, przygarnięty — jak tylu innych od stu lat — pod skrzydła Ossolineum. Z przyjemnoscią patrzyło się na skromną postać tego starszego, cichego pana ze szpakowatą, rudawą bródką, który miał bardzo miły głos, mówił pięknym polskim językiem i przy bliższym poznaniu uderzał inteligencją. Znał kawał Zachodu i umiał o nim ciekawie opowiadać, nie narzucając się nikomu. Miewało się z nim takie okolicznościowe rozmowy na korytarzu, czy w powrocie do domu. Żył samotnie i klepał nieraz biedę. Potem powodziło mu się lepiej, ale wtedy interesujący ten samotnik szukał pocieszenia w kieliszku i przypłacił to ciężką chorobą nerwową. Wyszedł z niej zrujnowanym starcem.

d.c.n.



3/- Published by „Nowa Polska", 91 Great Titchfield Street, London, W.1, and printed by Staples Press Limited at their Great Titchfield Street London, factory. — Tel.: MUSeum 1409. 3/-